Nr. 9. Poznań, dnia 4 Marca 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie . . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

Treść nr. 9-go.

Galicya wobec reformy wyborczej w Austryi.

Kraków, 28. lutego 1906.

Bomba powszechnego prawa głosowania w Austryi — pękła nareszcie, pękła z wielkim hukiem, wywołując wielkie zamieszanie i wielką wrzawę, jakkolwiek oddawna przecie jej oczekiwano. Niezwykły efekt, jaki sprawiła, tłomaczy się tem, że zawierała rozmaite szczegóły, których przedtem nie zapowiadano ani nie przewidywano.

Rząd austryacki przedłożył projekt nowej ustawy wyborczej Radzie państwa w ubiegły piątek. Składa on się właściwie z kilku projektów oddzielnych, które dotyczą oprócz zmiany ordynacyi wyborczej także obostrzenia przepisów karnych za nadużycie i gwałty przy wyborach. Prezydent gabinetu, baron Gautsch, wygłosił przy tej sposobności, jak przystało na ważny ten moment historyczny, wielką mowę polityczną, którą zakończył słowami: *„Ludzie przemawiają, idee pozostają,* chociażby więc projekt rządowy *mnie zgotował upadek, myśl w nim zawarta nie upadnie wraz ze mną“.* Z słów tych wnosić można, że decydujące sfery w Austryi zdecydowane są nową ordynacyę wyborczą przeprowadzić za *każdą cenę,* że więc stanie się faktem, chociażby obecna Izba miała ją odrzucić.

Przyznać trzeba, że zasadę *powszechnego głosowania* wraz z jej innemi przymiotami, jak *równość, bezpośredniość i tajność* przeprowadzono w projekcie rządowym w szerokich rozmiarach, pod jednym względem nawet w szerszych, niż w Niemczech. Nadaje on prawo wyborcze już wszystkim mężkim obywatelom państwa, którzy ukończyli 24 rok życia, a nie jak u was, od 25 roku życia, i to zupełnie bez względu na to, czy płacą jakiekolwiek podatki lub nie, czy umieją czytać, lub nie, byle tylko — taksamo jak w Niemczech, nie pobierali wsparcia dla ubogich z kas państwowych i gminnych. Warunkiem dalszym uzyskania prawa tego jest conajmniej *jednoroczny* pobyt w danej gminie. (U was wystarcza już pobyt półroczny). Wybór odbywać się będzie *kartkami.* Tu wprawdzie różni się nowa ustawa dość znacznie od ustawy niemieckiej. Ta przepisuje tylko kolor i format papieru kartek, resztę — a mianowicie dostarczenie ich wyborcom, pozostawia organizacyom stronnictw lub każdej jednostce z osobna. U nas będzie inaczej. Według naszej nowej ustawy wolno oddać jedynie kartki, dostarczone *przez władze rządowe lub gminne,* opatrzone ich stemplem urzędowym. Nadto każdy wyborca musi mieć wystawioną przez władzę kartę legitymacyjną. Ponieważ kartki wyborcze wydawać będą władze tylko każdemu wyborcy z osobna, nie będzie można drukować na nich nazwisk kandydatów. Jest to przepis bardzo niedobry dla państwa, w którem liczba *analfabetów* jest tak znaczna. Ci bowiem zmuszeni będą prosić innych o napisanie im nazwiska kandydata na kartce, a przytem dziać się mogą najrozmaitsze fałszerstwa i nadużycia. Ten i drugi przepis, według którego wyborców tylko pojedyńczo wolno będzie wpuszczać do lokalu wyborczego, zamkniętego dla mężów zaufania stronnictw, wskazuje, że przynajmniej w czemś rząd pragnie okroić zupełną wolność wyborów, zachować sobie środek przeciwko zbytniemu rozpanoszeniu się skrajno radykalnych stronnictw i żywiołów. Poza tem nowa nasza ustawa wyborcza mało tylko odbiega od niemieckiej, jedynie systemu kopertowania kartek — nie wprowadza jeszcze.

Dla Austryi zmiana to radykalna. Upadają bowiem wszelkie kurye stanowe, o których pisałem obszernie w dawniejszych artykułach i korespondencyach moich, kurye, w których nieraz, np. w kuryi większej własności przypadał jeden poseł na *trzydziestu* wyborców. Zamiast parlamentu klasowego otrzyma teraz Austrya parlament powszechny, wybrany przez *przeszło 6 milionów równouprawnionych obywateli.*

O ile pod tym względem zastosowano w zupełności zasadę równości — o tyle *ignorowano ją zupełnie przy rozdziale mandatów na poszczególne kraje i narodowości,* przy tworzeniu nowych okręgów wyborczych. I to jest *ujemną* stroną reformy, dla ludności polskiej w Austryi zaś stroną wprost *fatalną.*

Przypatrzmy się temu bliżej; przedewszystkiem rozdziałowi mandatów na poszczególne *kraje* austryackie. Tu,

od razu, na pierwszy rzut oka widocznem jest *faworyzowanie Niemców kosztem Słowian.* Austryacka rada państwa liczyła dotychczas 425 posłów, odtąd ma ich mieć 455 czyli o trzydzieści więcej. Sprawiedliwość nakazywała cały ten przyrost przydzielić temu krajowi, który już dotychczas pod tym względem był najbardziej upośledzony, a więc *Galicyi.* Tymczasem stało się inaczej. Liczbę mandatów *galicyjskich* pomnożono jedynie o 10 — z 78 na 88; resztę a więc 20 rozdzielono między Czechy i kraje niemieckie, które już dotychczas posiadały stosunkowo największą liczbę mandatów. Co do tego przepowiednie sprawdziły się zupełnie: W obu Austryach (Rakuzach) w Styryi i Tyrolu, dalej w Czechach jeden mandat przypada na 30, 40 i 50 000 mieszkańców — w *Galicyi* dopiero na **83 000** *mieszkańców.* Tak nagrodził rząd austryacki kraj, który w orędziach swych i przemówieniach władca Austryi nazywał „najwierniejszym,“ „ukochanym“ — który rzeczywiście dla monarchii jego największe ponosił ofiary...

Stało się to na tej podstawie — jak w swej mowie raz jeszcze podniósł baron *Gautsch* — że przy podziale mandatów brano w rachubę nietylko liczbę ludności, lecz także *stopień oświaty ich mieszkańców,* wreszcie *ich wydajność i siłę podatkową.* Niestety, przyznać trzeba, że pod jednym i drugim względem Galicya nie może się jeszcze równać z krajami zachodnio-austryackiemi. Liczba analfabetów jest tu bardzo znaczna, co się tyczy sumy podatków, Galicya płaci zaledwie *pół tyle,* co znacznie mniejsza od niej Dolna Austrya lub również mniejsze od niej Czechy. (Dolna Austrya 273 mil., Czechy 240 mil., Galicya 122 mil.) W stosunku do obszaru i ludności także *Morawy, Śląsk* i inne kraje niemieckie przynoszą skarbowi państwa dochód niemal trzy razy wyższy, niż Galicya.

Czyż to atoli uprawniało rząd do tak macoszego traktowania tego kraju? *Bynajmniej!* Przedewszystkiem, nie Galicya winna, że jest tak uboga — winien temu *sam rząd austryacki.* Przez sto lat blisko eksploatowano ją w najniesumienniejszy sposób, nic dla niej nie czyniąc nawzajem, a i dziś jeszcze odmawia się jej należytego poparcia, tamuje się jej rozwój ekonomiczny przez ignorowanie jej interesów w polityce *handlowo-clowej i kolejowo-taryfowej.* Co więcej, gdy teraz społeczeństwo tutejsze same zabrało się do uprzemysłowienia kraju — nie kto inny, jak wielki austryacki przemysł niemiecki *usiłuje temu przeszkodzić.* I to najlepiej wyjaśnia nam przyczyny „nędzy Galicyi.“ Jest ona najzyskowniejszem polem zbytu dla przemysłu w Austryi i w Czechach. Jeźli też kraje te dziś górują nad nią siłą podatkową — zawdzięczają to w niemałej mierze Galicyi, czerpanym z niej zyskom. To przy rozdziale mandatów *należało uwzględnić, tymczasem to właśnie pominięto.*

Nie mniej niesprawiedliwym jest podział mandatów według *narodowości.* Nie da się zaprzeczyć, że rząd miał w tym kierunku zadanie ogromnie trudne. Nie byłoby ono takiem, gdyby każda narodowość zamieszkiwała ściśle odgraniczone terytoryum. Tak atoli nie jest. W Czechach i na Morawie mieszają się Niemcy z Czechami, w Galicyi Polacy z Rusinami, na Śląsku Polacy, Niemcy i Czesi, w Styryi i Karyntyi znów Niemcy z Słowieńcami, gdzie indziej Niemcy i Słowianie z Włochami. Każda narodowość żądała ochrony dla swoich mniejszości. Aby temu zaradzić, trzeba było chwycić się przy podziale okręgów wyborczych *sztucznej nadzwyczaj geometryi.* Niestety rząd z trudnego zadania wywiązał się *jaknajgorzej.*

Było to do przewidzenia od razu w chwili, w której baron Gautsch dał Niemcom uroczyste przyrzeczenie, że przy reformie wyborczej nie uszczupli ich „stanu posiadania“. „Stan“ ten był przecie już dotychczas — *krzywdą* dla innych narodowości. Niemcy, licząc zaledwie 36 procent ogólnej ludności, posiadali niemal połowę mandatów — a i na przyszłość przyznano im około *45 procent mandatów.* Ogólną ich liczbę rozdzielono między poszczególne narodowości w następujący sposób:

	mandatów	= 1 mandat na mieszk.:
Niemcy otrzymali	205	44.000
Włosi „	16	46.000
Słowieńcy „	23)	53.000
Serbochorwaci „	13)	
Czesi „	99	61.000
Rumuni „	4	61 000
Polacy „	64	67.000
Rusini „	31	107.000
razem	455 mandatów.	

Zapewnienie tych mandatów nastąpiło przez stósowny podział okręgów wyborczych. Niemcy pozostali więc nadal uprzywilejowanym narodem w monarchii. Nie mają oni wprawdzie (nawet do spółki z Włochami) *absolutnej* większości, będą jednakże i nadal kierującym czynnikiem w państwie. Polacy, których dotychczas zasiadało 73 w Radzie państwa stracić mają *9 mandatów.*

* * *

Przystępujemy teraz do rzeczy dla nas najważniejszej, a mianowicie do ukształtowania się stosunków wyborczych w *Galicyi i na Śląsku austryackim.*

Żądanie zachowania *Polakom* w Galicyi stanowiska, jakie im się słusznie należy na mocy ich przewagi liczebnej, kulturalnej i materyalnej, również nie było łatwe. Więcej bowiem niż jedna trzecia całej ludności polskiej Austryi, bo około $1^1/_2$ (półtora) miliona zamieszkuje *Wschodnią* Galicyę i stanowi tam *mniejszość* wśród ludności ruskiej. Rząd więc, aby to osięgnąć, po długich naradach z namiestnikiem hr. Potockim, następującego chwycił się sposobu: Zupełną równość, bezpośredniość i tajność wyborów zachowano i w Galicyi. Podzielono ją ogółem na 53 okręgi wyborcze, *18 miejskich i 35 wiejskich.* Miejskie, stosunkowo małe (Lwów naprzykład podzielono na 4 okręgi, Kraków na 3) wybierać mają *po 1,* z 35 okręgów wiejskich znacznie większych każdy *po 2 posłów* (dwóch). W miejskich decydować ma o zwycięstwie zwykła *absolutna* większość głosów, w wiejskich natomiast tego rodzaju system proporcyonalny: Każdy wyborca głosuje tylko na jednego kandydata — do osiągnięcia mandatu wystarcza atoli uzyskanie $^1/_3$ *wszystkich oddanych głosów.* Na konkretnym przykładzie system ten tak się przedstawia: Jeżeli w okręgu liczącym 16 000 wyborców jest 6 000 Polaków a 10 000 Rusinów — każda strona głosuje na swojego kandyta. Jeźli Rusin otrzyma 10 000 a Polak 5 334 głosów, o jeden więcej nad 1 trzecią, *obaj są wybrani,* gdyż tylko trzecia część głosów potrzebna jest do zwycięstwa. Jeżli kandydatów z obu stron jest więcej i głosy tak się rozstrzelą, że jeden nie otrzyma conajmniej trzeciej części głosów, następuje wybór *powtórny,* lecz już tylko między *trzema* kandydatami którzy stosunkowo najwięcej dostali głosów. W razie zaś, gdy przy powtórnym tym wyborze tylko jeden kandydat zwycięży, muszą się odbyć jeszcze *wybory ściślejsze* między *dwoma* pozostałymi.

System to bardzo skomplikowny i bardzo uciążliwy dla wyborców. Najgorsze zaś to, że *mniejszości polskich w Galicyi wschodniej jednak należycie nie ochrania.*

Rzecz się ma tak:

Według obliczeń rządu powinno przypaść w udziale Polakom 18 mandatów z miast, dalej 32 mandatów w 16 wyłącznie polskich wiejskich okręgów Zachodniej Galicyi, wreszcie dziesięć mandatów z 10 okręgów wiejskich w których ludność polska według statystyki stanowi więcej niż 1 trzecią ogólnej liczby, w których zatem — w

sposób poprzednio opisany, Polacy i Rusini przeprowadzić mogą po *jednym pośle*. Rusini natomiast mają zapewnione 16 mandatów z ośmiu pozostałych *przeważnie ruskich* okręgów, i 10 z owych wspólnych, razem 26. Jeden okręg, przemyski, jest niepewny. Tam ważyć się będą szanse obustronne. A zatem: *Polacy* w Galicyi: mandatów 61. — *Rusini* 27 mandatów.

Tak oblicza szanse wyborów na podstawie nowej ustawy *rząd* — w rzeczywistości jednakże mogą się one ułożyć — przy późniejszych zwłaszcza wyborach daleko *niekorzystniej dla Polaków*.

Przedewszystkiem nie jest bynajmniej absolutnie pewnem, że wszystkie mandaty z 18 okręgów *miejskich* posiędą Polacy. *Rusini* wprawdzie w miastach stanowią procent bardzo mały, za to bardzo niebezpiecznym czynnikiem będą tu dla strony polskiej — *żydzi*. W niektórych okręgach miejskich, jak np. *Brody-Złoczów, Kołomyja-Buczacz*, — Kraków — *Kazimierz* i dwóch lub trzech innych, stanowią oni taką siłę, że *sami* mogą się pokusić o zdobycie mandatów. Wiedeńska *„Neue Fr. Presse“* zapowiada już też, że żydzi wystąpią w tych okręgach z *narodowo-żydowskimi* kandydatami, istnieje zaś obawa, że mogą to być „narodowcy“ żydowscy wcale nie z Galicyi — lecz z *Wiednia*, że Galicya otrzyma w ten sposób — posłów *niemieckich!!* Dalej i w kilku z owych wspólnych rusko-polskich okręgów wiejskich żydzi — jakkolwiek w statystyce zapisani są do Polaków, przechylić mogą głosami swymi wybór drugich posłów również na stronę *ruską*. Nie jest więc wcale wykluczonem, iż liczba posłów polskich z Galicyi zmaleje do *54 lub 55 wogóle*, że będzie ich o 20 *mniej niż dotychczas*.

Dotychczas i z *Bukowiny* wysyłano do Wiednia jednego posła. Mandat ten tracimy *bezpowrotnie*. Natomiast *Rusinom* przyznano tam 4 mandaty.

Wielką krzywdę wyrządzono także *Polakom na Śląsku*. Kraj ten zamieszkały jest przez 296000 Niemców, 146000 Czechów i 221000 Polaków. Tymczasem okręgi tamtejsze tak skonstruowano że z 13 mandatów poselskich otrzymać mają Niemcy 9, Czesi 1, a Polacy 3. Śląsk wybierał wprawdzie dotychczas tylko 1 posła *polskiego* — zyskuje więc dwa mandaty polskie — lecz wobec znacznej liczby ludności polskiej w tym kraju i ten „przyrost“ jest *śmieszno mały*.

Jak się ułożą stosunki *stronnicze* przy wyborach w obozie polskim, o tem pomówimy w następnym artykule.

Dziś zaznaczamy tylko, że na razie *nikt z nowego projektu nie jest zadowolony*. Każda niemal narodowość uważa się za *pokrzywdzoną*, nawet *Niemcy!!* ci z tej przyczyny, że stracą *absolutną* hegemonię w państwie.

Słychać jednakże, że po dłuższych targach o mandaty, w których nastąpią jeszcze pewne zmiany co do liczby mandatów, projekt rządowy jednak *stanie się prawem*. Lecz i o tem, — w następnym artykule. *I. K. M.*

Sprawa górnośląska.

Pisaliśmy niedawno o tem, że sprawa polska na Górnym Śląsku jest tematem ożywionej dyskusyi. Szczególnie duchowieństwo rozpisywało się o swoim do sprawy tej stósunku.

I wyłoniły się z tej dyskusyi różne projekty, jakie względem siebie mają zajmować stanowisko — centrum a partye polskie.

Wszystkie zgadzały się w jednym punkcie, że o podobnym stosunku ludu polskiego (a więc i partyi polskich), jaki dotąd istniał do centrum, w przyszłości mowy być nie może. Centrum, nie chcąc zupełnie stracić swojego wpływu na Górnym Śląsku, miało w przyszłości wchodzić w kompromisy z partyami polskiemi.

Dyskusya ta na moment przycichła. Zdawałoby się, że w cichości poróżnione czynniki pracują nad ułożeniem takiego stosunku — zgodnego.

Była to atoli cisza przed burzą. Znaleźli się ludzie, którzy przedsięwzięli wszelkie usiłowania porozumienia — zniweczyć i zburzyć. Tymi ludźmi, to *posłowie centrowi z Górnego Śląska*, wybrańcy ludu polskiego!

Wydali oni bowiem od siebie następujące oświadczenie:

I. W tzw. sprawie górnośląskiej wyznajemy jak dotąd tak i obecnie te zasady, które Centrum zawsze reprezentowało, a które mianowicie sformułowane są w odezwie wyborczej zarządu stronnictwa centrowego sejmu pruskiego z dnia 29 kwietnia 1903 r. jak następuje:

Rozumie się samo przez się, iż współobywatele nasi języka polskiego mają obowiązek pamiętać o przynależności do państwa pruskiego i odpierać jako zdradę stanu wszelkie tzw. dążności wielkopolskie, skierowane ku oderwaniu pruskich dzielnic od związku państwowego. (!?)

Natomiast wobec rządu państwowego także podnosimy żądanie, aby nie naruszał religii, języka ojczystego i obyczajów ludowych swych poddanych polskich, a mianowicie, aby wobec nich w każdym kierunku rządził się sprawiedliwością.

Gotowi jesteśmy na tzw. „kresach wschodnich“ popierać niemczyznę tam gdzie i o ile jest zagrożoną, nie dotykając wyżej wymienionych zasad. Równocześnie jednak musimy zwalczać wszystkie środki stojące w sprzeczności ze sprawiedliwością i równością wszystkich Prusaków przed prawem, tem więcej, iż jesteśmy przekonani i doświadczenie to wykazało, że takie środki, nie osiągając celu, sprowadzają jedynie dalsze obostrzenie przeciwieństw ze szkodą dla państwa“.

Sądzimy, że stronnictwo centrowe i w przyszłości trzymać się musi powyższych zasad. Uważalibyśmy więc za chybione i po prostu fatalne popieranie takich dążności politycznych, które stoją w sprzeczności z temi zasadami, czy to jako dążności tzw. partyi wielkopolskiej, czy też naszych niemieckich przeciwników politycznych, połączonych na Górnym Śląsku pod rozmaitemi nazwami.

II. Uważamy, iż Centrum ma bezwarunkowy i zaszczytny obowiązek bronić na obydwie strony wszelkiemi siłami swego *starego* niegdyś w gorących walkach zdobytego *stanu posiadania*. Centrum broniło zawsze jak najenergiczniej wszystkich uprawnionych interesów ludności polskiej na Górnym Śląsku, nie zapominając przy tem o interesach ojczyzny i niemczyzny. *Dla tego zorganizowanie stronnictwa centrowego na Górnym Śląsku według podziału językowego uważalibyśmy za wielki błąd polityczny. Stronnictwo centrowe, musi* jak dotąd, bez zmiany *walczyć pod swoim dawnym sztandarem.*

III. Ze względu na to, iż publicznie roztrząsano pytanie, czyby nie było na czasie, żeby duchowieństwo górnośląskie wycofało się z politycznej działalności, oświadczamy, iż ubolewalibyśmy nad tem wielce, gdyby duchowieństwo górnośląskie zechciało w przyszłości wstrzymywać się od wykonywania swich obowiązków społeczno-obywatelskich, i gdyby tym sposobem stronnictwo nasze musiało obywać się bez jego dotychczasowego dzielnego współpracownictwa.

IV. Uchwały te ze względu na liczne artykuły prasowe o sprawie górnośląskiej i jej rozwiązaniu, jako też ze względu na zebranie mężów zaufania śląskiego stronnictwa centrowego, naznaczone na 10-go kwietnia 1906 r. należy natychmiast oddać śląskiej pra-

sie centrowej w celu ich opublikowania.

Berlin, 16-go lutego 1906 r.

Hr. Ballestrem - Pławniowice. Hr. Ballestrem - Costau. Bolik. Faitin. Frank. Galda. Geisler. Glowatzki. Dr. Hager. Hartmann. Dr. Heisig. Hoheisel. Horn. Hubrich. Klose. Metzner Nadbył. Dr. Porsch. Hr. Jan Praschma. Stanke. Hr. Strachwitz-Bertelsdorf. Hr. Strachwitz. Raudnitz. Strzoda. Stull. Ziesche.

Tak brzmi owo oświadczenie.

Nie potrzeba prawie osobno uwagi zwracać na to, że *brak* pod oświadczeniem tem podpisów posłów *Szmuli i* ks. Abramskiego. Fakt ten jest znamienny. „Germania" nie tłómaczy stanowiska ks. Abramskiego, podaje atoli do wiadomości, że godził on się na ustęp I, lecz II i III podpisać nie chciał.

Znamienne to i dla sprawy naszej korzystne. Lud polski przekona się, że i szczerzy i gorący zwolennicy centrowi — nie we wszystkiem godzą się na dawne stanowisko tej partyi na Gornym Śląsku.

Pisma nasze oświadczenie to oceniły należycie. Uważają one oświadczenie jako nową prowokacyę — a „Katolik" śmiało i szczerze zapowiada walkę przeciwko centrum. Niechby „Katolik" tego przyrzeczenia dotrzymał, a za dwa lata — fiasko centrum na Górnym Śląsku będzie zupełne. Tego mu zresztą zawsze i szczerze życzyliśmy. Cieszylibyśmy się bardzo z tego, gdyby tak się stało istotnie.

Mankietnicy czyli Maryawici.

Do klęsk, jakie Król. Polskie nawiedziły z powodu wojny na dalekim Wschodzie, do rozruchów socyalistyczno-strajkowych dochodzi nowy prąd szkodliwy. Oto w łonie kościoła katolickiego zaszedł niezaprzeczalny już dziś wypadek — odszczepieństwa. Powstał on między tymi właśnie, którzy z powołania i poświęcenia mają obowiązek stróżować nad czystością nauki naszego powszechnego — katolickiego kościoła, między — *księżmi.*

Ruch ten powstał w następujących okolicznościach.

Przed kilkunastu laty O. Honorat, zakonnik Kapucyn z Nowego Miasta, zastanawiał się nad reformą życia duchowieństwa świeckiego, chcąc je więcej oddalać od uciech tego świata. Pomiędzy gorliwemi penitentkami O. Honorata, była niejaka Kozłowska, praczka z Płocka. W jej posiadanie dostał się częściowo ten plan reformy. Po upływie lat kilku wespół z ks. Janem Kowalskim z Sobótki pod Łęczycą przerobiła ona częściowo ten plan i w Płocku założyła podwaliny pod zgromadzenie „Maryawitów," przezwanych następnie „mankietnikami" tak nazwanych ztąd, że nie noszą mankiet. Opracowane reguły Zgromadzenia musiały się jednak różnić od planu O. Honorata, skoro tenże zerwał następnie wszelkie stosunki z inicyatorami.

Mankietnicy głoszą, że Kościół katolicki się rozpada i że należy go udoskonalić. Duch szatana wstąpił nietylko w księży, ale nawet w biskupów. Jedynie papież wolnym jest od wpływu szatana i dla tego będąc sam w niewoli biskupów, zagrzewa Maryawitów do walki z przełożonymi.

Ascetyzm uprawiany przez Maryawitów, ma tak wyraźne przymieszki średniowieczczyzny, że sam przez siebie długoby się ostać nie mógł. Według głoszonych przez Maryawitów zasad człowiek nie posiada wolnej woli. Łaska Boża jest wszystkiem. Łaska Boża wystarczy zamiast pracy, łaska Boża zastępuje wszelką naukę„ łaska Boża sprawia, że można się obyć n. p. bez lekarza, bo na chorobę jedynem lekarstwem jest modlitwa. Wszelka działalność społeczna jest szkodliwa, bo ona odciąga człowieka od modlitwy. Drogą, wiodącą do zbawienia i do uzyskania szczęśliwości doczesnej, jest, podług Maryawitów, adoracya Najświętszego Sakramentu i wysoko rozwinięta cześć dla Matki Boskiej. Jako symbol tego kultu wybrali Mankietnicy obraz cudowny Matki Boskiej nieustającej Pomocy. Obraz ten jest pochodzenia greckiego, ma napis i krzyż grecki, dążeniem zaś sekciarzy jest wyrugowanie z chat, obrazów M. B. Częstochowskiej. Według ich nauk w kościele inne obrazy nie powinny być tolerowane. Nowa sekta odrzuca dalej Sakrament Pokuty, Komunia zaś może być przyj-

Czarna księga

czyli

szkody wyrządzone polskości przez komisyę kolonizacyjną.

7)

(Dokończenie).

VIII. Pod pręgierzem opinii.

....Smutnem echem mu dusza zawsze odpowiada:
Nie wróci sława nigdy, strącona na wieki!
Czarnym kirem na życie nawet dzieci spada
Do grobu łzami zwilżać tu będziesz powieki!
Anna Karwat.

Groza nas przejmuje gdy wspomnimy o strasznem spustoszeniu ziemi polskiej przez kolonizacyą. Lecz nie kolonizacya winna temu, że nam 400,000 mórg ziemi wydarto; sami zaprzepaściliśmy przed wiekiem wielką niegdyś, wolną Ojczyznę, sami teraz znowu wydaliśmy dobrowolnie ziemie nasze na łup germańskiej zachłanności!

A gdy spojrzymy na długi szereg nazwisk tych, ·órych ziemia dzisiaj jest w ręku kolonizacyi, zapytać się usimy mimowolnie: Czy jest podobieństwem, aby wszy·y ci ludzie obrani byli z rozumu, ze zmysłu zachowaw·zego, czy jest możliwem, aby wszyscy ci ludzie świadomie i dobrowolnie dążyli byli pod hańbiący ich pręgierz?

I tutaj narzuca nam się konieczność głębszego rozpatrzenia się w szeregach kolonizatorów. A gdy zbadamy sumiennie przyczyny sprzedaży, gdy zajrzymy na dno duszy ludzkiej, gdy poznamy powody i pobudki jakiemi kierowali się sprzedający ziemię w ręce najzaciętszego wroga, wówczas objektywnie badając zauważymy, że stopień ich winy, aczkolwiek zawinili wszyscy i hańbą okryli się wszyscy, nierównym jest i że nie można potępiać wszystkich jednakowo, bezwzględnie.

Doszliśmy więc do tego, że należy kolonizatorów podzielić na rozmaite kategorye czyli klasy. Myślę że trafny sąd wydam, gdy powiem, że czworakie były powody wyzbywania się ziemi:

1) smutna konieczność
2) bezdenna lekkomyślność
3) spekulacyjna chciwość i
4) zbrodnicza niegodziwość.

Do *pierwszego* rodzaju tych co sprzedali ziemię swą z konieczności zaliczyć musimy w pierwszej linii tych, którzy z nastaniem komisyi kolonizacyjnej już mieli nóż na gardle a mimo skromnego, uczciwego i pracowitego żywota popadli w subhastę, na której potem kolonizacya nieraz za bezcen kupowała ich ziemię. Powinniśmy być sprawiedliwi: nie było tyle czujności przed 20 laty co dzisiaj, nie było tyle banków polskich, nie było u nas tych nagromadzonych milionów, jakie mamy dzisiaj.

Wiadome nam przecież są wypadki, gdzie szczerze szukano kupca Polaka, lecz nie było popytu, nie było tego zrozumienia u wszystkich co dzisiaj, że nam ziemię za każdą bądź cenę i to wszystkim nam jak jesteśmy, ratować należy! Nie znano wówczas i nie miano jeszcze zaufania do systemu parcelacyi. I gdy dziś wspomnimy, jak łatwo rzekomo można było uratować ongi niejeden piękny majątek przez kupno lub parcelacyą, to myśl ta jest rzeczywiście tylko złudzeniem, gdyż dawniej w zupełnie innych, gorszych znajdowaliśmy się wszyscy warunkach. Dopiero groza kolonizacyi, jej postępy rozbudziły w nas zrozumienie konieczności trzymania ziemi; od dwudziestu lat na-

mowana kilkakrotnie. Uważając siebie za wybranych do walki z Antychrystem, Maryawici twierdzą, że przez nich dokonane zostanie odrodzenie ludzkości. Antychryst przybiera rozmaite formy, przejawia się w dążeniach rozmaitych partyi politycznych, w książkach, pismach masońskich, nawet w spółkach włościańskich i stowarzyszeniach spożywczych.

Małżeństwa uznają Maryawici jedynie „ewangieliczne,“ to jest czyste. Członek sekty musi złożyć ślub ubóstwa, czystości, wstrzemięźliwości, oraz bezgranicznego posłuszeństwa ojcom i „mateczce“ p. Kozłowskiej. Zadaniem Maryawitów dalszem jest walka z Antychrystem, który już się urodził z p. Kozłowskiej i ma lat 3 i pół. Głowa sekty, pani Kozłowska, jest najwyższą instancyą w sprawach związku. Żaden ksiądz nie może być przyjęty do zgromadzenia wbrew jej woli, musi przedstawić się jej i uzyskać jej sankcyę.

Nauka ta tak oczywiście i daleko odchodzi od nauki katolickiego kościoła, że nie potrzeba osobno jeszcze zwracać na to uwagi.

Dziwić się atoli trzeba, że znalazł ruch „mankietników“ szerokie koła zwolenników, i to szczególnie wśród ludu, tem więcej, że mankietnicy wcale nie przebierają w środkach propagandy.

Prawda, że pod względem życia nie można im zarzucić niczego, co zapewne zwolenników im jedna, ale sposoby n. p. zdobywania funduszy na cele ich propagandy powinny otworzyć ludowi oczy.

Oto nie biorą oni opłat od chrztów, ślubów pogrzebów. Ludowi wydaje się, że na tem dobrze wychodzi. Tymczasem rzecz ma się inaczej. Kto bowiem przyłączy się do „Maryawitów,“ tego przyłączają oni do kółka składającego się z 10 osób, z których każda płaci miesięcznie 1 rubla i 2 złote.

Niezależnie od tego wszystkie bractwa obowiązane są zakupywać msze św. po 25 rubli. Poważny dochód daje im również handel artykułami dewocyjnemi.

Biskupi od dość dawna starali się przeciwdziałać szerzeniu się odszczepieństwa. Pierwszy zwracał uwagę na działalność Maryawitów biskup płocki ś. p. ks. Szembek. Zakazał on księżom odprawiać zebrania i szerzyć nową naukę. Skutkiem tego środek ciężkości nowej sekty przeniósł się do Warszawy i zaczął powoli ogarniać trzy dyecezye, w których dziś głównie się szerzy, mianowicie gubernię warszawską, płocką i lubelską. Ostatecznie sprawę oddano pod sąd papieża. Odpowiedź potępiająca nową sektę, jako niezgodną z tendencyami i nauką katolickiego Kościoła i nakazująca ją rozwiązać, stała się hasłem otwartej walki, jaką sekciarze podjęli ze swą prawowitą władzą duchowną.

Dziś propaganda, nie dość energicznie stłumiona w zasadzie, przybrała rozmiary szerokie, rząd bowiem okazał się dla sekciarzy dziwnie wyrozumiałym i zapewnia Maryawitom swobodę ruchów, możność przenoszenia się z miejsca na miejsce bez paszportów, wreszcie urządzania zebrań misyjnych i wieców wśród ludu.

Biskupi rozpoczęli wobec tego walkę na całej linii. Wbrew przewidywaniu atoli spotkali się z oporem nie tylko ze strony sekciarzy, ale i sfanatyzowanego przez nich ludu. Księża zawieszeni w urzędach, nie chcieli się usunąć, a lud stawał w ich obronie i nie dopuszczał do wsi zastępców.

Doszło do tego, że biskupi musieli z ogólnej liczby 70 księży Maryawitów zawiesić w urzędowaniu i w obowiązkach kapłańskich 11, a nadto arcybiskup warszawski ks. Popiel, wydał list pasterski, potępiający naukę Maryawitów i wzywający wiernych, aby nie dawali posłuchu uwodzicielom, będącym na błędnej drodze i zachęcającym lud do oporu względem rozporządzeń władzy duchownej, mających na celu usunięcie od niego szkodliwych wpływów.

Sekta ta liczy kilkanaście tysięcy zwolenników, których pozyskano żarliwą misyjną propagandą. Aczkolwiek stronnicy sekty utrzymują, że bodźcem do jej powstania była dążność do wprowadzenia prawdziwej czystości w kapłaństwie i reakcya przeciw nadmiernemu obciążaniu ludu opłatami za posługi duchowne, to jednak jest w tej nauce zbyt wiele sekciarstwa, opartego na łatwowierności, aby można się obawiać poważnych następstw agitacyi, prowadzonej zresztą dosyć niezręcznie.

---

uczyliśmy się wiele i wzmocniliśmy się ekonomicznie niezgorzej; dzisiaj solidarnie wszystkie stany i zawody przesiąkają coraz głębiej przekonaniem, że posiadanie ziemi dla wszystkich polskich stanów, zawodów i warstw zarówno jest niezbędne i potrzebne; utwierdza nas w tem przekonaniu i spaja nasze serca, myśli i czyny z roku na rok potężniej i silniej bractwo HKTystów, które mimo szkód jakie nam ustawicznie wyrządza tę ma wobec nas zasługę, iż nas ciągle pobudza do jedności, do pracy i myślenia nad naszą przyszłością, naszem ocaleniem.

Inni znowu wprawdzie nie na subhaście lecz przy ratowaniu funduszów rodzinnych stali się kolonizatorami. Zawinili, prawda; poszli dla tego pod pręgierz. Lecz jeżeli nie żyli nad stan, jeżeli szczerze pragnęli znaleść nabywcę wśród swojich a im się to wówczas nie udało — to nie piętnujemy ich zupełnie bezwzględnie. Jeszcze inny rodzaj konieczności sprzedaży to ten, że sprzdający pozbył się części swej ziemi, by ratować resztę. Jeżeli tę resztę uratował, jeżeli jej później także nie sprzedał lecz przeciwnie ekonomicznie stanowisko swoje wzmocnił lub może nawet jeszcze z rąk niemieckich później ziemię wykupił to i tego kolonizatora inaczej sprawiedliwiej a więc łagodniej musimy sądzić aniżeli innych gorszych od niego „kolegów“. W trudnych warunkach ekonomicznych żyjemy prawie wszyscy; ten powód nie może zatem być momentem zmniejszającym winę kolonizatora; należało się zastósować do nich, ograniczać w wydatkach, odwyknąć od wygód i przyjemności a ziemi się nie pozbywać. Sam fakt atoli, że wielu sprzedało swą ziemię jedynie z przykrej konieczności, jest faktem niezbitym i dla tego każdy uczciwy, który nie sądzi lekkomyślnie „aby nie być sądzonym“ przyznać musi, że wina takiego kolonizatora mniejszą jest od winy tych, o których następnie pomówię.

Do *drugiego* rodzaju tych co popadli molochowi kolozacyjnemu a których już bez ogródki nazwę „sprzedawczykami“, zaliczam przedewszystkiem tych licznych ziemian i gospodarzy, u których powodem sprzedaży była lekkomyślność, ta nasza starodawna, typowa, specyficznie polsko-słowiańska „lekkomyślność“.

Czy źródła jej szukać należy w niedołęztwie, rozrzutności lub braku fachowej wiedzy jak u szlachty, czyli też widzimy ją w gnuśności, pijaństwie lub pieniactwie polskiego gospodarza — ona to przyprawiła większą połowę sprzedawczyków o stratę ich majątków. Jak często oddawali rodzice lekkomyślnie majątki dzieciuchom nie mającym pojęcia o gospodarowaniu w ziemi!? Ile majątków rozdrobniono między dzieci szczególniej między synów bez zapytania się czy synowie na nich mogą się wogóle utrzymać? — Jak wychowywano tych gagatków? Wiecznie prezenta: kuce, strzelba, powozik, wierzchowiec itd.; później „bumlerka“ na akademiji rólniczej lub uniwersytecie i co pozatem idzie brak ochoty do pracy, brak poczucia obowiązków wobec siebie samego, swej rodziny, swego społeczeństwa! Gdzie wychowywanie charakterów? Gdzie krzewienie polskości i miłości do sprawy ojczystej? Zamiast dzierżyć majątek tak długo aż się nie przekonamy co ten syn nasz wart, zamiast kierować drugich na inne zaszczytne zawody: jurysty, medycynera, teologa, kupca lub przemysłowca, tworzyliśmy proletaryat szlachecki, którego dziś wszędzie pełno. Tak wychowywaliśmy bezwiednie sprzedawczyków, którzy pod jarzmem ugiąć się musieli bo nie chcieli a choć i chcieli to nie umieli pracować“. A za dziedzicem szedł w ślady gospodarz; albo pił albo polował albo włóczył się po sadach lub co najmniej po targach i jarmarkach. Zadłużonemu lub zalkoholizowanemu łatwo żyd

Z Królestwa Polskiego.

27. lutego 1906.

(*Robota socyalistów i nowe pole ich działalności. Zapowiedź strejków rolnych. Socyaliści a mankietnicy. Zamachy. Rewizye w sądzie i na cmentarzu. Kronika. Pierwsza odezwa wyborcza. Zwołanie Dumy*).

Królestwu Polskiemu nowe ze strony socyalistów grozi niebezpieczeństwo.

Wiadomo już, że nierozumne a bezcelowe strejki do nędzy prawie doprowadziły ludność miast naszych. Wiecie o tem, bo składaliście się na to, by otrzeć nędzy naszej łzy i zaspokoić głód.

Nie byłoby jednakże tych składek ani waszych ani z Galicyi starczyło, gdyby nasza ludność *wiejska* nie była pospieszyła z szczerą pomocą.

A mogła to była uczynić bez uszczerbku dla siebie. Urodzaje ostatnich lat i ceny wysokie na zboże naprawiły klęskę z lat dawniejszych. To też wieś nasza sypnęła groszem na strejkujących robotników, przytuliła dobroczynnie tysiące robotniczych dzieci warszawskich, umierających z głodu. Znalazły one ratunek i troskliwą opiekę po dworach, plebaniach i chatach. Wieś zdawała się szczęśliwą.

Tej „szczęśliwości" pozazdrościli jej socyaliści nasi, a zrobiwszy swoje w miastach, przenoszą dziś swą zgubną a zbrodniczą działalność do cichych wiosek polskich.

Zapowiadają więc obszerne przygotowania do strejku rolnego, powszechnego, który ma wybuchnąć na wiosnę i objąć wszystkie bez wyjątku okolice kraju. Przed strejkiem i podczas strejku po wsiach jeździć będą agenci socyalistyczni i doglądać tej całej roboty. Strejkujący porozumiewać się mają i z włościanami z sąsiednich wsi, by ci podczas strejku trzymali stronę robotników i nie puszczali do roboty takich, co chcieliby strejk złamać. Ma on wybuchnąć podczas zasiewów wiosennych, by uniemożliwić obywatelom długotrwale sprzeciwianie się żądaniom służby folwarcznej. A te żądania są takie, że w razie ich wykonania już dziś się znajdujące w trudnych ogromnie warunkach ziemiaństwo nasze musiałoby chyba pójść w świat z torbami. Te zapowiedzi, w razie urzeczywistnienia, mają do reszty dokonać tego, czego nie osiągnęły jeszcze strejki przemysłowe i ogłodzić społeczeństwo i doprowadzić je do wściekłości i rozpaczy.

Znam atoli usposobienie naszego ludu wiejskiego, jego pobożność, pracowitość, a ostatnio i pewien stopień uświadomienia narodowego. Nie wierzę więc, by socyalistom udało się w całości przeprowadzić swe plany. Jednakże nie należy wcale ich zapowiedzi lekceważyć. Możliwość strejku rolnego tu i owdzie wcale nie jest wykluczoną. Szczególnie wielkie dobra i okolice większych miast są nim zagrożone. Przypuszczać też trzeba, że obywatelstwo nasze czemprędzej się postara przeprowadzić polepszenie bytu robotników rolnych w granicach możliwości. Jest to konieczny warunek poderwania socyalistycznej agitacyi, która już się rozpoczęła w niektórych okolicach kraju — w Kaliskiem np. jeżdżą po wsiach „socyały" w liczbie po 5—6 i rozdają ludowi proklamacye.

Lecz nie na tem koniec. Mówią, że po za granicami Królestwa wkrótce odbędzie się zjazd socyalistów polskich. Ten ostatecznie ma ujednostajnić taktykę powstańcząz na ziemiach polskich i wyznaczy termin *zbrojnego ruchu.*

Na razie, by nie wyjść z wprawy, socyaldemokracya usiłuje przeprowadzić na kolei warszawsko - wiedeńskiej obstrukcyę kolejową, celem wymuszenia na zarządzie uregulowania kasy emerytalnej, i popiera czynnie odszczepieńczy ruch księży mankietników. W bójkach i awanturach w kościołach i na plebaniach biorą ożywiony udział ajenci socyalistyczni. Co zaś do mankietników, to, jak się dowiaduję, władze duchowne nareszcie zdobyły się na energię, w najbliższą niedzielę spaść bowiem mają z ambon w Warszawie księża w liczbie 13, jacy dotychczas nie ukorzyli się jeszcze przed biskupami. Mają być zawieszeni w swych obowiązkach duchownych. Po parafialnych kościołach, opanowanych przez mankietników, uczynić mają to samo delegacye dyecezyalne. „Mateczka" zaś Kozłowska w tych dniach rozpocząć ma objazd „wiernych" parafii.

---

lub oczaj dusza agent wmówił, by się pozbył gospodarstwa. W ten sposób nieledwie połowa sprzedawczyków gospodarzy wyzbyła się swej ziemi.

Mają o nas narody pojęcie, które Francuz nazywa bardzo trafnie „inproductivite slave" (słowiańskie niedołęztwo). Lepiej naszych sprzedawczyków w dwóch słowach scharakteryzować bodaj byłoby trudno. Boleśnie patrzeć było na gospodarkę takiego polskiego niedołęgi. O gospodarowaniu ziemią, ani pojęcia, o rachunkowości i książkowości gospodarskiej wiedzieć nie chciał; sam partacz i ślamazara lub matador w jednostronnym kierunku polowania, koniarstwa, sportu, kart lub podróżowania po świecie brał sobie inspektorów, rządzców nieraz równych sobie niedołęgów a dawał się wyzyskiwać ludziom hulaszczym i niesumiennym. Niby to dobry, hojny i gościnny, złoty sąsiad i towarzysz; powinien lepiej był zostać wszystkiem innem ale nie właścicielem włości.

Tak, słowiańska niezaradność i lekkomyślność stworzyła u nas poważną liczbę sprzedawczyków.

Trzecim rodzajem — to chciwi spekulanci!

Z góry musimy ich nazwać znikczemniałą cząstką polskiego narodu. Sprzedawczyk-spekulant to człek nisko upadły, to szumowiny społeczne; w czambuł zaliczyć musimy do tej kategoryi wszystkich agentów Polaków, którzy kiedykolwiek przyczynili się do przefrymarczenia ziemi w paszczę kolonizacyi. Ich pierwowzorem to owi nikczemni, podli zdrajcy z czasów rozbioru Polski, którzy za dukaty państw zaborczych rwali kawał po kawale z ciała nieszczęśliwej Ojczyzny. Za pieniądze do wszystkiego zdolni; zaprzedadzą wrogowi ziemię, zaprzedadzą prochy przodków, zaprzedadzą kościoły, dwór rodzinny gdzie ich kolebka stała, zaprzedadzą za judaszowe złoto lud polski, zmuszą go do pójścia na wygnanie i wieczną poniewierkę.

Niejeden chciwiec chłopek zaprzedaje swe kilkadziesiąt mórg by na stare lata módz chuchać i dmuchać by lubieżnie dotykać i przeliczać swe judaszowskie talary! Inny gospodarz rzuca kolonizacyi za marny grosz kilkaset mórg za pomocą agenta żyda lub nieznanego powsinogi, by przenieść się na wygodne życie do miasta i tam spekulować i raźniej ziemię frymarczyć.

Wstrętne wprost pod tym względem moglibyśmy przytoczyć przykłady.

Mamy chciwców-spekulantów, którzy nie dopuszczą poważnych nabywców Polaków do zakupienia majątku lecz kupują go sami. Wycinają lasy, wyprowadzają najlepsze inwentarze do swych dawnych obór wyprzedają zboża a wypychają ciągle przytem swe kieszenie.

Gdy majątek wyssali, poczynają stękać i narzekać na złe czasy, na nieurodzaje a w końcu oddają kolonizacyi tysiące mórg bez wstydu bez wyrzutów sumienia!

Nic to, że parafią skrzywdził, że lud polski wyrugował, że zbór luterski i szczep germański wprowadził. Nabił kieszeń i z cynizmem wśród swojich się obraca. Czy we wyborach jeszcze zwyciężymy, czy kresy nasze osłabimy, czy kupiec Polak będzie mógł istnieć w sąsiednim miasteczku, czy głos w sejmiku powiatowym uronimy lub czy za lat 50 sami Niemcy będą w powiecie a Księstwo zgermanizowane nic go to nie obchodzi! „Bylem ja miał pieniądze — bylem ja się zbogacił — bylem mógł elegancko się ubrać, wygodnie mieszkać wytwornie jeść i pić — niech społe-

Przeciwko nieznośnej represyi władz wojennych i administracyjnych (nie piszę już o aresztowaniach), mnożą się rozmaite objawy oporu zrozpaczonej ludności. W Warszawie w ubiegłym tygodniu miały miejsce 3 zamachy na policyantów. Strzelano do patrolu wojskowego. W sobotę zamordowali niewykryci sprawcy w biały dzień na ulicy Brackiej naczelnika kolei nadwiślańskich, inżyniera Iwanowa. Był to zaciekły rusyfikator i gnębiciel Polaków. Ostatnio wydaleniem z kolei nadwiślańskich kilkudziesięciu Polaków pozbawił chleba tyleż rodzin i padł ofiarą zemsty, a raczej słusznej kary.

Skutkiem tych zamachów władze wojenne rozwinęły podejrzliwość, dochodzącą do najwyższej przesady. Podejrzanymi są nawet wyżsi urzędnicy. W Radomiu żandarmerya poddała rewizyi gmach sądu okręgowego, gabinety prokuratora, prezesa i wiceprezesa. To też się sądownictwo broni przeciwko zależności od administracyi wojskowej. Nikt nie chce objąć posady po Skarjatinie, kaliskim prokuratorze, zawieszonym przez Skalona a dziś przeniesionym przez ministra na wyższą posadę. A od rewizyi wojskowej nie są wolne nawet cmentarze! Dnia 19 b. m. w Kaliszu otoczono je wojskiem i ściśle zrewidowano, bez rezultatu, zakłócając spokój zmarłym, a jeszcze widać nielojalnym.

Leży przedemną pierwsza w Królestwie odezwa wyborcza. Wydała ją demokracya narodowa, wyjaśniając swe stanowisko wobec wyborów. Odezwa długa, streszczam ją krótko. Na początku mówi o niesłychanie trudnych warunkach, w jakich wypadnie przeprowadzić wybory. Stronnictwo nie ma zamiaru zużytkować swego wpływu dla swych cechów partyjnych, lecz w każdym okręgu wyborczym uzna tych kandydatów, którzy przedstawiają największą wartość i nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości co do swego stanowiska narodowego. Walki partyjnej, jako wielce szkodliwej, stronnictwo D. N. nie chce. Są jednak punkta programu, którego uznanie uważa demokracya narodowa za obowiązujące dla wszystkich kandydatów narodowych, a temi punktami są: autonomia Królestwa Polskiego i solidarność w Izbie całego przedstawicielstwa polskiego z Królestwa, Litwy i ziem ruskich. W odezwie wyborczej obszernie jest omówioną ekonomiczno-społeczna polityka D. N. w sposób, który dowodzi, że demokracya narodowa poważny nacisk kładzie na podniesienie materyalno-moralne warstw ludowych i robotniczych: organizacyę związków zawodowych i wytworzenie największej liczby osad włościańskich.

W ostatniej chwili dowiaduję się telegraficznie, że dnia 26-go b. m. wyszedł rozkaz carski, zwołujący Dumę na 10-go maja. Wybory rozpocząć się mają już w połowie marca. Pesymistyczne więc przewidywania postępowej prasy rosyjskiej okazały się bezpodstawnemi. Nasz naród otrzymuje możność na drodze już ściśle legalnej walczyć o swe najświętsze, nieprzedawnione prawa. *Sarmata.*

Nasza umysłowość
„a Dziennik Poznański."

Od poważnej obywatelki a szczerej patryotki odbieramy następujące pismo:

Zgadzam się najzupełniej z panem S. Wrzesińskim co do „głosów obywatelskich" w rodzaju pisma p. Beinowej. Rzecz sama — list p. B. — nie warta oczywiście krytyki ani dysputy. Zasługuje jednak na uwagę jako smutna ilustracya stanu umysłowego pewnych sfer, stanowiących większość wiernych zwolenników „Dziennika" i niewybredności p. redaktora biorącego poważnie podobne apostrofy.

Równie charakterystycznym dowodem braku literackiego gustu „Dziennika" jest drukowana obecnie nowela, która zasługuje na uwagę chyba tylko jako przykład, jak pisać nie należy. Szkoda wdzięcznego tematu, który zdolniejsza ręka ujęłaby w formę zręczną, wykwintną i zajmującą.

Czytając podobne produkcye — nie rzadkie niestety! w łamach „Dziennika," myślący czytelnik doznaje uczuć bardzo różnorodnych: zawstydzenia, że umysłowość naszej dzielnicy przedstawia się obecnie tak ubogo, tak jałowo i pospolicie — i żalu, że społeczeństwo nasze wobec prasy zajmuje sta-

---

czeństwo, niech przyszłość naszą, niech Polskę djabli biorą" powiada taki gałgan!

Gdzieindziej znów gospodarz łotr bez czoła czołga się przed kolonizacyą by kilka marek więcej niż od Polaka, od sąsiada lub krewnego nawet zarobić na swej ojcowiźnie. Takiego nikczemnika nie dotyka los Kościoła, los dzieci polskich los jego współbraci. On spróbowawszy jednej sprzedaży gotów jest sięgnąć drugi i trzeci raz po judaszowski grosz, bo jego cały rozum, jego honor, jego bożyszcze, te pieniadze! W sercu nosi on podłość, na ustach fałsz i kłamstwo!

Czwarty rodzaj sprzedawczyków to niegodziwcy, którzy ziemię kolonizacyi sprzedają albo dla fantazyi albo z całą świadomością swej zbrodni, na którą przytoczyć nie mogą żadnego uniewinnienia. Tak przeszedł majątek na kolonizacyą w Gnieźnieńskiem, wskutek którego sprzedaży stracimy mandat poselski do sejmu; tak niegodziwie postąpił sobie człek majętny, żyjący w świetnych stosunkach finansowych, który za namową kochanicy sprzedał kolonizacyi kilka tysięcy mórg wraz z całem pamiątkowem urządzeniem domowem, wraz z rynsztunkiem zbrojnym rodzica, który w roku 1863-cim krew przelewał za Ojczyznę tę, którą syn zaprzedał! Sprzedawczyk, który z nizkich pobudek: bo z namowy rozbawionej i dalszej zabawy pragnącej kochanicy lub też „aby na złość uczynić rodzinie" majątek kolonizacyi zaprzepaszcza, nie wart jest nawet nazwania: niegodziwca.

Społeczeństwo wstydem pałając na jego wspomnienie pyta się: czyż ziemiaństwo nasze polskie doprawdy już tak dalece znikczemniałe, tak nisko upadło, że takie ciągle jeszcze wydaje jednostki? Chyba kurczyciele ci Ojczyzny naszej obrani muszą być z rozumu!? Przefrymarczyć kolonizacyi kilka tysięcy mórg za niżej 300 mrk. morgę podczas gdy w całym powiecie płacą z wolnej ręki po 450 i po 500 marek!!

„Kogo Bóg chce ukarać, temu naprzód rozum odbierze" mówi stare polskie przysłowie.

Straszną będzie kiedyś za to — kara!

Oto obraz naszych kolonizatorów; oto sąd bezstronny, sąd wyjęty z serca każdego prawo myślącego Polaka i Polki w zaborze pruskim.

Sprzedawczycy! Wy mianowicie targowiczanie: „spekulanci" i „bezsumienni niegodziwcy" spojrzycie w zwierciadło cynicznej duszy waszej! —

I mimo tego strasznego widma własnego grom Was nie raził — jeszcze wśród nas marny żywot pędzicie!? Precz — zdala Wam od ręki naszej — od naszych domów, wara!

Lecz Ty, chłopku polski i Wy panowie, którzy *bronicie ziemi*, którzy czujecie krzywdę zadaną przez współbraci, którzy Boga macie w sercu i miłość płomienną Ojczyzny, Wy którzy nigdy do jej skurczenia nie przyłożycie ręki — podnieście w górę czoła, bo chociaż o Was mówi wielkopolska pieśniarka:

„Straszne idą pokusy, nacierają gromem
Że zachwiać nawet mogą Wasze zacne dusze!

to jednak

Chwała temu, co zbudzon, pojmie cios nad domem,
Wyniesie honor czysty, choć przejdzie katusze!

Koniec. *K. R.*

nowisko tak mało życzliwe, zawsze więcej bierne niż czynne.

Że „Dziennik“ ze względów utylitarnych z zasady unika płatnych artykułów, wie o tem już i publiczność, — lecz cóż z tego wynika? oto obowiązek obywatelski bezinteresownego zasilania anemicznego organizmu jędrnemi, oryginalnemi artykułami o bogatszej treści i wykwintniejszej formie. Nowe, świeże prądy — choćby „a la Przybyszewski“, — z którym nawiasem mówiąc zapoznać trochę czytelników, Szanowna Redakcya nigdy nie uważała za stósowne. — Widocznie na równi z p. Beinową uważa tę niezwykłą a w swoim rodzaju tak wybitną indywidualność za bete noire, którym straszy naiwnych czytelników.

Tak pojęty i odczuty obowiązek społeczeństwa wobec prasy zasiliłby niewątpliwie wątłą egzystencyę „Dziennika“. Wtedy samo z siebie otworzyłoby się ciasne, błędne koło zamykające działalność „Dziennika“: ubóstwo treści skutkiem szczupłej liczby abonentów i szczupła liczba abonentów z powodu ubóstwa i jednostronności gazety. *G.*

Tydzień polityczny.

Parlament *niemiecki* i sejm *pruski* pracują bezustannie.

W parlamencie ukończono obrady nad etatem ministerstwa sprawiedliwości. Przy tej okazyi objawiano głośne życzenia o zmiany w sądownictwie, szczególnie procesu karnego i cywilnego, dla ławników i przysięgłych posłowie żądali dyet.

Najważniejszem atoli, co parlament w ostatnim tygodniu dokonał, to przyjęcie tymczasowego traktatu handlowego z *Ameryką*. Szczególnie ciekawe światło rzuca fakt ten na stósunek wzajemny obu tych państw. Otóż Ameryka żadnej ulgi nie przyznała Niemcom, nawet jej nie przyrzekła, a pomimo tego Niemcy zgodzili się na to, by Ameryka bez długich układów korzystała z różnych ułatwień handlowodowych, jakie przyznane zostały owym państwom, które z Niemcami zawarły traktaty handlowe. Uczynili to Niemcy z obawy przed wojną celną z Ameryką, na której przemysł niemiecki mocno by ucierpiał. Niemcy bowiem wywożą do Ameryki bardzo wiele swoich wyrobów.

Konferencya marokańska nie wychodzi dotąd ze stanu wątpliwości i czarnych przypuszczeń. Na początku tego tygodnia już zapowiedziano, że konferencya się rozejdzie, i że w Morokko będzie tak jak było dotąd. Wreszcie pojawiło się w pismach niemieckich życzenie, ażeby jakieś *trzecie* państwo podjęło się — pośrednictwa. Anglia i Ameryka nie tracą nadziei, że konferencya zakończy się wzajemnem porozumieniem Niemiec i Francyi.

Wśród tych przeróżnych opinii głosów prasy i zapewnień dyplomatów toczą się w Algeciras w dalszym ciągu obrady nad projektem *bankowym* w Marokko. Niemcy i w tej sprawie w ostatniej chwili i niespodziewanie wystąpili z własnym planem i utrudniają stanowisko Francyi na wszelki sposób.

Powszechna opinia obwinia głośno Niemcy o to, że tylko z ich winy obrady są takie powolne i zmudne, i że na ich głowę spadnie zarzut, jeżeli konferencya rozejdzie się przed załatwieniem sprawy Marokka.

Niemcy winę tę zrzucają ze siebie na Paryż, lecz nikt temu nie wierzy.

Na *Węgrzech* rozpoczęła korona po zamknięciu sejmu rządy swoje od tego, że przyjęła traktat handlowy z Niemcami i dla Węgier. Nota odnośna zapowiada, że rząd czyni to w nadziei, że nastąpi zatwierdzenie traktatu w drodze legalnej (przez sejm). Koalicya węgierska przycichła, ustąpiła wobec gwałtu rządu i czeka, by z żądaniami swojemi wystąpić w odpowiedniej porze. Widocznie opozycya nie chce powiększać zamieszania, jakie z powodu nie-konstytucyjnych rządów tamże istnieje.

Tymczasem zapowiedział prezes ministrów *austryackich* baron Gautsch, że rada państwa nie myśli wypuścić ze swoich rąk przysługujących jej praw doglądania i dozorowania uchwał węgierskich. Przedewszystkiem nie zgodzi się nigdy na żadne ustępstwa *wojskowe.* Zatem zatarg prawdopodobnie trwać będzie w całej sile i nadal.

W *Rosyi* spokoju niema. Ze wszech stron nadchodzą wiadomości o zaburzeniach. Sybir i Kaukaz szczególnie nie ustępują z pola walki.

Tymczasem w kołach rządowych, od kiedy reakcya wzięła górę, na prawdę coś się psuje. Kilku ministrów ustąpiło. Poinformowani o powodach donoszą, że poradził im to sam Witte, bo mu byli za — liberalni w gabinecie.

Nie dziw więc, że wobec podobnej opinii gabinetu t. zw. „Związek 30-go października“, łączący w sobie kilkanaście partyi politycznych rosyjskich, uchwalił rezolucyę domagającą się, ażeby obecny gabinet ustąpił, ponieważ nie dotrzymał danych narodowi przyrzeczeń. Wątpliwą oczywiście jest rzeczą, czy na gabinet uchwała ta jakikolwiek wpływ wywrze, jest ona jednakże dowodem rozbudzonej przeciwko Wittemu i jego rządom silnej i jawnej opozycyi.

Znany O. Gapon, przywódca robotników, skompromitowany jest — łapówką. Dowiedziono mu, że odebrał od Wittego 30 tysięcy rubli. Odkrycie to zakończy na zawsze błyskotliwą rolę Gapona, jaką odegrał w ruchu wolnościowym w Rosyi. A że blasku chwały mu nie przysporzy — to jasne.

O ogłoszeniu terminu wyborów donosimy na innem miejscu. Nie sprawdziły się więc zapowiedzi i powątpiewania, czy Duma w ogóle zwołaną zostanie.

Król *angielski* wybiera się wkrótce do Paryża. Pisma angielskie obwieściły światu, że Edward VII z okazyi urodzin Wilhelma II napisał temuż bardzo serdeczny list, w którym zapowiada spotkanie z cesarzem w obecnym roku.

Przegląd prasy.

W prasie naszej nie zaginęło jeszcze echo ostatniego okólnika Najprzew. ks. Arcybiskupa. Szczególnie obszernej dyskusyi poddał okólnik ten „*Goniec Wielkopolski*“. Poruszył on dwie nowe myśli 1) dla czego okólnik ze stanowiska religijno-dogmatycznego podpada krytyce, 2) co ma społeczeństwo zrobić z powodu okólnika.

Słusznie zupełnie powiada autor gońcowego artykułu (rl.), że okólnik Najprzew. ks. Arcybiskupa nie jest — *dogmatem.* Skoro więc okólnik Najprzew. ks. Arcybiskupa dogmatem nie jest, a my jako katolicy tylko w dogmat mamy obowiązek wierzyć, *musimy* wierzyć pod utratą zbawienia — to o okólniku wolno sąd swój wypowiadać szczerze i otwarcie. A zresztą okólnik wcale nie dotyczy spraw religijnych, spraw wiary św. i obyczajów.

Godzimy się na to zupełnie i nie wątpiliśmy ani na chwilę o tem, że o okólniku tym mówić, pisać i głosić wolno, co kto myśli i sądzi.

Na pytanie drugie odpowiada „Goniec“, że społeczeństwo winno wziąć duchowieństwo w obronę przeciwko ukracaniu praw księży. „Goniec“ myśli tej nie rozprowadza szeroko. Wolno zatem przypuszczać, iż ma na myśli wiec ogólny i protest przeciwko okólnikowi.

Cóż jednak — pytamy — wiec taki osięgnie? Nic absolutnie. Najprzew. ks. Arcybiskup okólnika *nie cofnie*, bo

z dobrej woli go nie wydał lecz pod naciskiem.

Nam wydaje się, że lepiej by było, ażeby protest zwrócić — bardzo energiczny — przeciwko *rządowi*, który przecież nie ulega wątpliwości wywierał presyę na Najprzew. ks. Arcybiskupa, by okólnik ten wydał.

Myśl taka z dwóch racyi wydaje nam się lepszą. Nasampierw nie będzie potrzeba poruszać przykrego stosunku, jaki na polu narodowem istnieje pomiędzy ks. Arcybiskupem a społeczeństwem, a powtóre może jednak wywrzeć na samego ks. Arcybiskupa wpływ, ażeby w przyszłości więcej się opierał naciskowi rządu.

* * *

Sprawa śląska wywołała z powodu oświadczenia posłów centrowych obszerną dyskusyę w prasie górnośląskiej. „Katolik" oświadczenie to nazywa — nekrologiem partyi centrowej na Górnym Slązku i dodaje drwiąco, że „posłowie centrowi nie chcąc swojej własnej partyi się sprzeniewierzyć, nie mogli inaczej postąpić, jak w oświadczeniu swojem rozwinąć stary sztandar centrowy".

Posłowie centrowi nie pytali się wcale o to, co się dzieje w kraju, nie wzięli pod uwagę panującej a tak przykrej niezgody pomiędzy katolikami polskimi a niemieckimi, to też oświadczenie posłów jest zdaniem „Katolika" usankcyonowaniem walki przeciwko partyi polskiej na Górnym Slązku. A nadto przedstawia się jako walna przeszkoda w porozumieniu pomiędzy skłóconymi katolickimi obywatelami. Posłowie stanęli przeciwko znacznej części swoich wyborców. Postawili się w przeciwieństwie do ich życzeń i żądań. Interes partyi postawili panad wszystko inne i tym interesem usiłują zabarykadować dojście do porozumienia i pokoju między wyborcami. Dla tego oświadczenie ich stanowczo potępiamy.

Rozwiniętym bojowym sztandarom centrowym możemy przeciwstawić bojowe sztandary partyi polskiej. Wszyscy wiedzą, że „Katolik" uczynił co mógł, aby jedne i drugie sztandary zdobiły pokój w domu. Jeżeli ma być walka, odpowiedzialność za nią spadnie na tych, którzy jej chcieli.

Podajemy głos „Katolika" jako najwięcej charakterystyczny. Rzecz bowiem jasna, że inne pisma jak „Polak", „Górnoślązak"i i „Głos Slaski" podobnie oświadczenie to przyjęły i z równą chęcią podejmą rzuconą im przez centrum rękawicę.

* * *

Nie minął jeszcze rok od istnienia „Straży", a już odzywają się głosy *o zmianę wewnętrtznego ustroju*. Mówiono o tem wprawdzie już tu i owdzie, ale zawsze zarząd „Straży" zapewniał, że organizacya zostanie zmienioną, z chwilą, kiedy się lepiej nieco rozwinie i głębsze zapuści korzenie wśród społeczeństwa.

Głośno odezwał się obecnie w tej sprawie *„Dziennik Kujawski,"* a nawiezując do tego, że w Inowrocławiu od jesieni nie odbył się żaden wiec „Straży", pisze tak:

„Straż" z głównym Zarządem w Poznaniu musimy uważać jako *Związek*, jej storostwa jako *poszczególne* Towarzystwa, z prezesem, t. j. starostą i jego komisarzami t. j. członkami zarządu na czele. Związek taki, jaki tworzy główny Zarząd „Straży" w Poznaniu, może wtenczas jedynie skutecznie działać, gdy te Towarzystwa, tutaj starostwa, okazują jakieś objawy życia, gdy mają zebrania zarządów, dalej wszystkich członków, zbierają składki i radzą wspólnie nad celem, w jakim powołane zostały do życia i zadaniami, które sobie postawiły. Tymczasem w „Straży" głowa daje mruganiem oczu znaki życia, reszta organizmu jest martwa jak automat i wtenczas tylko się porusza, gdy ją nakręci główna sprężyna Zarządu w Poznaniu.

Czyśmy jeszcze nie dorośli do organicznej pracy, lub czy też, jak to u nas jest w modzie, udajemy tylko tak dla oka, że się coś dla narodu robi, w rzeczywistości zaś nikomu się nie śni o rzetelnej pracy dla społeczeństwa?"

O ile w zasadzie godzimy się na potrzebę zmian w wewnętrznej organizacyi „Straży", o tyle nie możemy się zgodzić na pojmowanie „Straży", jako związku różnych towarzystw, ani na to, czy towarzystwa te miały nieraz zebrania itd. Jeżeli się nie mylimy, to właśnie swego czasu sam „Dziennik Kuj." narzekał na to, że życie w naszych tow. idzie bardzo ospale, że mało członków uczęszcza na zebrania. Po cóż więc tworzyć jeszcze jedną sposobność — do gnuśności członków?

W istocie robota — zadanie „Straży" jest inne. I niech „Dzien. Kuj." zajrzy do starostw, do sekcyi różnych, a przekona się, że pracy tej zaledwie podołać można. Jeżeli praca w Inowrocławskiem nie idzie dość raźno, to niech „Dz. Kuj." zwróci się z napomnieniem swem pod adresem starosty miejscowego, ażeby starał się o wypełnienie przyjętych na siebie obowiązków.

Dowiadujemy się zresztą, że wkrótce napomnienia takie wyjdą do tych starostów, którzy nie dość raźnie pracują, — i to od sekcyi organizacyjnej.

Naszem zdaniem, na zmiany wewnętrzne w „Straży" dziś jeszcze nie czas.

„Straż."

Baczność Rodacy z Bremeny i okolicy.

Wielki wiec „Straży" odbędzie się w niedzielę dnia 4-go marca o godzinie 8-mej wieczorem przy ulicy Stefansweg naprzeciw kościoła Panny Maryi (Marienkirche).

O liczny udział uprasza

Stanisław Żakowski,
mąż zaufania „Straży."

Wiadomości.

* **Do Izby rzemieślniczej poznańskiej** odbędą się w bieżącym roku wybory prawdopodobnie już w *marcu*. Ponieważ w marcu 1903 r. z 30 członków tejże Izby połowa wystąpiła i nowe wówczas odbyły się wybory, występuje obecnie druga połowa.

* **Przestroga.** Szanowną Publiczność przestrzegam jeszcze raz przed osobą, zbierającą składki „na polską szkółkę", która dla osłonięcia kłamstwa, wymienia zawsze moje nazwisko.

Aniela Tułodziecka.

W powyższej sprawie donoszą nam ze źródła wiarogodnego, że osobą, zbierającą składki „na polską szkółkę" jest szpicel pruski. Nasze panie, u których była owa osoba w odwiedzinach, odebrały policyjne mandaty karne aż do 100 marek za rzekomą bezprawną prywatną naukę języka polskiego. Zatem przestrzegamy publiczność przed owym szpiclem, z którym należy zrobić krótki proces t. j. wyrzucić za drzwi.

* **W dniu** cesarskiego jubileuszu małżeńskiego powywieszano w mieście naszem tu i owdzie chorągwie o barwach pruskich i niemieckich a przedewszystkiem powywieszali knajpiści, także niektórzy Polacy i różni hakatyści, którzy to ciągną zyski bądź to z urzędów, bądź z dostaw rządowych.

Na gmachach rządowych również powiewały sztandary. Dzień był dżdżysty i pochmurny, nad wieczorem padał nawet rzęsisty deszcz. Tutejsze trzy gazety niemieckie wyszły w ozdobnych wydaniach z portretami pary monarszej. Czytana bardzo w kołach polskich „Posener Neueste Nachr.“ wysadziła się nadzwyczaj w swej ozdobności, nawet przewyższyła obie koleżanki. Doszła też nas „Gazeta Katolicka“ z Królewskiej Huty, która także z portretami jubilatów wyszła i szumny artykuł zamieściła z powodu jubileuszu, a nawet ody uroczystościowej tam nie brakło. Takie gazety polskie ministrom się podobają, ale tylko do czasu, dopóki młodsze pokolenie nie zapomni języka polskiego. „Gazeta Katolicka“ zanadto przesadziła pod tym względem nawet katolicką berlińską „Germanię“, która tak ozdobnie nie wyszła.

Nadmieniamy jeszcze, że powiewały także chorągwie o barwach niemieckich na pałacu arcybiskupim, starem i nowem seminaryum i gmachu konsystorskim. Wieczorem iluminacya wyspy tumskiej przeszła oczekiwanie nawet najlojalniejszych poddanych. W ślady wyspy tumskiej poszło także wielu „arcylojalnych Polaków“ i iluminowało rzęsiście okna swych składów, restauracyi i t. p.

Nie ma co mówić — coraz lepiej spisują się nasi „arcylojalni“ Polacy.

*** W „Kościelnym Dzienniku Urzędowym“** czytamy:

„Dotyczy srebrnego wesela Pary Cesarskiej.

Ze względu na uroczystość srebrnego wesela Cesarskiej Pary przypadającą dnia 27 lutego rozporządzam, aby dnia 26 wieczorem w wszystkich parafialnych i filialnych kościołach dzwoniono przez kwadrans i aby w sam dzień uroczystości odprawiono w tychże kościołach śpiewaną mszą św., a po Mszy św. odśpiewano Te deum laudamus. W niedzielę poprzednią zwrócą XX. kaznodzieje ludowi uwagę na tę uroczystość i jej znaczenie, w modlitwie zaś powszechnej dodadzą w miejscu odpowiedniem następujące słowa:

„Daj Cesarzowi naszemu monarsze, długie panowanie, a Dostojnej Parze Cesarskiej, wraz z którą wdzięcznem sercem spoglądamy na Jej błogosławione 25-letnie małżeńskie pożycie, jeszcze wiele lat niczem niezamąconego szczęścia domowego, zlej także obfite łaski na książęcą parę, która w dniu jubileuszu rodzicielskiego węzłem małżeńskim się łączy“.

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański

† Floryan“.

***Ciekawy komunikat.** Od zarządu wolnego cechu krawieckiego w Poznaniu odebraliśmy następujące pismo, które, aczkolwiek dla Czytelników naszych spóźnione warto zanotować:

Szan. członków wolnego cechu krawieckiego, którzy by chcieli podczas mobilizacyi podjąć się prac wojskowych, jako to: spodni i surdutów sukiennych i drelichowych, czapek polowych, rękawiczek sukiennych — prosimy o zgłoszenie się po informacye do cechmistrza p. L. Miklaszewskiego, najpóźniej do 1 marca r. b.

*** Poszukuje się kupna** dobrze zaprowadzonego handlu bławatnego, lub celem założenia, o wskazanie, gdzie takowego jeszcze koniecznie potrzeba w średnich lub większych miastach Prus Zach. lub Księstwa, dla inteligentnego, dzielnego kupca, Polaka. Zgłoszenia proszę do ekspedycyi pod No. 120.

*** Rugowanie robotników polskich.** „Pos. Tageblatt“ donosi, że odbyła się niedawno temu w Poznaniu konferencya pod przewodnictwem naczelnego prezesa Waldowa w sprawie osiedlania Niemców z Rosyi w naszem Księstwie. Na konferencyi obradowano dokładnie, w jaki sposób będzie można najlepiej przybyłych z Rosyi Niemców osiedlać. Mają oni wedle planu pastora Rosenberga z pod Ostrowa wypierać *robotnika polskiego* z naszych polskich stron. Ciekawiśmy, jak się ten nowy eksperyment prześladowczej polityki polskiej powiedzie. Wielkich widoków on nie ma, robotnicy niemieccy będą żądali, aby im „Vaterland“ dobrze płacił, a oni mogli mało robić. Jednak i to już byłoby krzywdą dla żywiołu polskiego, gdyby w ten sposób zamknięto masom robotników polskich, przebywających czasowo na obczyźnie, a chcących wrócić w strony ojczyste — powrót do kraju.

*** Dola redaktorów:** Redaktorzy pp. Józef Szmyt od „Wielkopolanina“ i Jahnke z „Lecha“ skazani zostali, pierwszy przez izbę karną poznańską, drugi przez gnieźnieńską — każdy na 100 marek kary. Pan Szmyt miał się dopuścić obrazy urzędników pocztowych, a p. Jahnke zbyt gorliwie piętnował panie polskie, które chodzą kupować do obcych.

*** Uwolnieni.** Jak donosił „Lech“, policya nałożyła znaczne kary na pp. Neymana, Samolika i Wrześniewicza, ponieważ dzieciom swym bez pozwolenia szkoły pozwolili wziąść czynny udział w przedstawieniu amatorskiem „Ciarachy“. Również do odpowiedzialności pociągnęła policya właściciela sali Koschnickiego i p. syndyka Sczanieckiego, jako prezesa towarzystwa, które owo przedstawienie urządziło. Skazani kary nie zapłacili i odwołali się do sądu. Termin odbył się w środę przed gnieźnieńskim sądem ławniczym, który po znakomitej obronie p. mec. Karpińskiego, wszystkich obwinionych zupełnie uwolnił. Okazało się, że policya wymarzyła kary na podstawie rozporządzenia, które nie jest prawomocne.

*** Niedzielny obchód** 150-letniej rocznicy urodzin Stanisława Staszica, urządzony na małej sali Lamberta staraniem Tow. Młodzieży kupieckiej ściągnął tak liczną publiczność, iż mnóstwo ludzi musiało z przykrością odchodzić, gdyż policya dla przepełnienia sali nikogo już nie wpuszczała.

Piękny i dobrze opracowany odczyt o Staszicu wygłosił p. Tomasz Skalski. Utalentowany skrzypek p. Pawlak czarował publiczność swą grą, to też nie szczędzono mu hucznych oklasków. Niemniej bardzo życzliwie przyjęła publiczność śpiew solowy panny Zielińskiej. Chóry pod kierunkiem p. Hedingera były znakomicie wćwiczone, a osoby znające się na śpiewie nie miały dość słów na pochwałę sumiennej pracy dyrygenta, podnosząc, iż tak wyćwiczone chóry w Poznaniu rzadko słyszały. Urozmaiciła program pięknie wygłoszonemi deklamacyami artystka sceny poznańskiej pani Horska-Kuncewiczowa, której publiczność oklasków nie szczędziła. Wszyscy opuszczali salę zadowoleni, za co Tow. Młodzieży kupieckiej należy się szczera podzięka.

*** Dobre wiadomości:** Ostatnie gospodarstwo niemieckie w Łękowicach (Lenkowitz) pod Kcynią przeszło w ręce polskie. Blaty hakatystyczne okropnie nad tem biadają, pisząc, że gmina łękowicka jest teraz zupełnie spolonizowana, co w interesie niemczyzny jest nadzwyczaj pożałowania godne.

Polak wykupił od Niemca Thiela za 18 000 marek gospodarstwo w Eberfeldzie (?) pod Czerniejewem. Jest to czysta wieś niemiecka, w której pierwszy Polak gospodarz się osiedlił. Brawo!

Polak, robotnik Bińkowski, wykupił w Budzynie siedmiomorgowe gospodarstwo od Niemca Krysztofa Erdmanna, który opuszcza gościnną ziemię polską i emigruje z rodziną, składającą się z 10-ciu głów do Ameryki. Daj Boże, aby było takich emigrantów jak najwięcej.

*** Z teatru.** W sobotę, dnia 3-go marca, na premierę ukaże się nowość: *„Fredzio“*, komedya w 3 aktach, zdolnego i cenionego dramaturga Stanisława Grajbnera. Jestto utwór wysoce

wartościowy, świadczy o tem wyrok sądu konkursowego krakowskiego, który „Fredzia“ opatrzył uznaniem i poleceniem do gry.

W niedzielę wieczorem, dnia 4-go marca po raz drugi „Fredzio“.

Trzy jednoaktówki Adolfa Nowaczyńskiego: „Dom Kalek“, „Prawo Mimicry“ i „Walc barona Molskiego“, wystawione świeżo na naszej scenie, podobały się publiczności, która licznie pospieszyła do teatru, aby zapoznać się ze sceny z dziełami współczesnego poety.

Uznanie szczególne należy się artystom i reżyseryi za nadzwyczaj staranne wykonanie ról.

W „Domu Kalek“ na wyróżnienie zasługuje pan Jaracz w roli profesora, p. Kuncewicz w roli przesadnego bawidamka; w „Prawie Mimicry“ dobrym był p. Szatkowski w roli rejenta, pani Królikowska w roli jego żony. W „Walcu barona Molskiego“ doskonałym był p. Poleński, a bardzo dobrym jako baron p. Prochaska.

* **Teatr amatorski** na dochód „Zakładu św. Józefa“ na Śródce odbędzie się dnia 21-go b. m. w teatrze polskim. Bliższe szczegóły podamy później.

* **Szpiegowanie księży.** W „Germanii“ centrowej czytamy: Pewien nauczyciel w powiecie pszczyńskim na G. Śląsku wystósował do landrata następujące pismo:

Na żądanie ustne donoszę, że 1. ks. kapelan N. jest bardzo czynnym w swoim urzędzie; 2. w życiu towarzyskiem jest wesoły; 3. wobec swoich przełożonych jest uparty; 4. pod względem politycznym stoi na stanowisku ks. proboszcza Skowrońskiego. Usiłuje on zdusić w zarodku każdą dążność niemiecką w kościele i w szkole. Byłoby więc dobrze, gdyby ks. kapelana N. przesiedlono do innej miejscowości, w której miałby mniej wpływu w kościele, szkole i towarzystwach.

Wobec powyższej denuncyacyi pisze „Germania“: Pierwsze dwa punkty są prawdziwe. Następne powinny brzmieć tak: 3. Ks. proboszcz jest z księdza kapelana bardzo zadowolony. 4. Ks. kapelan jest sprawiedliwym wobec parafian polskich i niemieckich, nie jest ani polonizatorem, ani germanizatorem, jest przedewszystkiem kapłanem.

* **Kontrolowanie księży.** Dortmundzkiemu „Dziennikowi Polskiemu“ donoszą: „W niedzielę był w kościele św. Apostołów w Dortmundzie na nabożeństwie polskiem rano i po południu policyant dozorujący zwykle towarzystwa polskie. Policyant jest protestantem (!) Z innej strony donoszą, że policyant notował nawet kazanie polskie“.

* **Policya** wydała rozporządzenie ograniczające kupowania i używania broni z powodu ostatnich częstych wypadków nieszczęśliwych. Handlarzom wolno tylko takim kupującym broń jakąkolwiek sprzedać, którzy pokażą pozwoleństwo policyjne. Powyższe pozwoleństwa wydawać będzie policya tylko tym osobom, które udowodnią potrzebę noszenia i używania broni i mają skończonych lat 21.

* **Dla wdów po nauczycielach elementarnych.** Przewodniczący prowincyalnego związku nauczycieli prowincyi nadreńskiej podaje do wiadomości:

„Wszystkie wdowy po nauczycielach, których mężowie przed 1 kwietnio 1900 umarli, mają widoki na bieżącą zapamogę, jeżeli prześlą wniosek na ręce inspektora powiatowego do król. regencyi, odwołując się na drożyznę obecnie panującą. Przytem trzeba podać imię i nazwisko zmarłego męża, miejscowość i powiat dawniejszego działania, rok śmierci i lata służby tegoż. W etacie kultu wyznaczono na ten cel sto tysięcy marek.“

To samo dotyczy wdów po nauczycielach i w innych prowincyach Prus.

Wszystkie gazety polskie uprasza się o umieszczenie powyższego rozporządzenia.

* **Ślub.** Dnia 19 lutego pobłogosławiony został w kościele św. Wojciecha w Poznaniu związek małżeński pomiędzy p. *Pawłem Muszyńskim*, kupcem z Trzemeszna, a p. Anną Brychczyńską, córką państwa Józefostwa Brychczyńskich z Mosiny. Gości weselnych podejmowali rodzice panny młodej z staropolską gościnnością w hotelu francuskim. Młodej parze „Szczęść Bże!

Uczestnik.

* **Pan Radowicz,** właściciel Ławicy pod Poznaniem, zaprzecza w „Dzien. Berl.“, jakoby miał zamiar sprzedać Landbankowi lub komisyi kolonizacyjnej. „Dz. Berl.“ podaje odwołanie z zastrzeżeniem.

* **Rogoźno,** dnia 27-go lutego 1906.

Szanowna „Praco!“

Muszę ci donieść, Szanowna „Praco“, jakich to gorliwych mamy tu Polaków, i jak gorliwie uwydatniają swoją narodowość, a donoszę dlatego, ponieważ szanowna „Praca“ dostatecznie potrafi napiętnować tych lojalnych Polaków, których publiczność powinna palcem wytykać. Rogoźno zdobyło się dzisiaj na taką iluminacyę, jak jeszcze nigdy. Prawda, że nie wszyscy się do tego przyłączyli tak z Polaków jak i żydów, jednak niektórzy Polacy odznaczyli się wielką gorliwością w iluminacyi i dlatego podaję każdego Polaka po nazwisku: 1) Wieczorek, szewc, kupiec i bankier ludowy; 2) Gałdyński, rzeźnik i dostawca nadworny Siernik; 3) Adamski, cukiernik; 4) Przezborska, drogerya; 5) Wadyński, aptekarz; 6) Szuber, kupiec i dostawca nadworny Siernik; 7) Drozdewicz, handlarz; 8) Laberowicz, bednarz i kupiec; 9) Koczorowski, szewc i kupiec; 10) Dandelska, kupcowa; 11) Jaroszewski, szewc, szwagier bankiera ludowego. Tenże 3 rzędy świeczek ustawił w oknie wystawowem, tak że całe od światła płonęło. 12) Cichowska, hotelistka; 13) Peik, rzeźnik; 14) Peik, handlarz bydłem; 15) Krupski, hotelista, ten, który odmówił sali na urządzenie wiecu „Straży“, który to, gdy go o salę proszono, odpowiedział, że wpierw musi się burmistrza zapytać, czy pozwoli, aby salę mógł dać.

A więc iluminował cały mędel Polaków-patryotów „uciśnionej niemczyzny“. Nie wiem, czy tym panom tak dobrze, że niemiecki patryotyzm tak uwydatniają. Jednych, jak wiadomo, polska szlachta wsparła i Bank ludowy, a niektórzy pewnie na niemieckim patryotyzmie chcą się dorobić, bo obecnie krucho! Kończę, bo się ręka trzęsie ze wzruszenia.

Gorliwy czytelnik „Pracy“.

* **Z pod Rogowa** donoszą, że pewien *gospodarz w Edmundowie* zamierza sprzedać na kolonizacyą swoje 100 morgowe gospodarstwo. Namawia go do tego szwagier z Sarbinówka, a pośredniczy pewien żyd z Janówca, który ma dostać grubą prowizyą. — *Inny gospodarz w Posługówku* chce także zaprzepaścić 200 mórg ziemi. — Ludzie, bójcie się Boga i nie zaprzepaszczajcie resztek ziemi ojczystej!

* **Pleszew.** W mieście naszem rozpocznie się serya odczytów ludowych w niedzielę dnia 4-go marca b. r. na sali hotelu „Wiktorya.“ Początek o godzinie 8-mej wieczorem.

Odczyty wygłoszą: p. dr. Likowski: O dr. Karolu Marcinkowskim; p. Samulski: O znaczeniu rzemiosła.

* **Z Ostroroga** piszą nam: Denuncyowano prokuratoryi tutejszego organistę p. Kaźmierza Filipowskiego dawniej z Międzychodu o popełnienie „karygodnego“ czynu i zbrodni, której dopatrzono się w tem, że p. Filipowski miał rozdawać drukowane odezwy hasła *„Swój do swego.“*

W sprawę tę wmięszany został także ks. Graszyński, dawniejszy wikaryusz

w Ostrorogu, a obecnie w Środzie. Księdza G. zwolniły jednakże od dalszych zarzutów zeznania p. K. Filipowskiego.

Gdzie *źródło* tych niecnych denuncyaci? Otóż przy kieliszku wódki wydobyli żydzi od gadatliwych Polaczków słówka, na mocy których potem wygotowali cały akt oskarżenia. Mamy nadzieję, że p. Filipowski z opałów tych wyjdzie cało, dla nas zaś stąd znów będzie nauka, ażeby „Swój tylko od swego kupował".

Parafianin z Ostroroga.

* **Odolanów**, 27-go lutego 1906 r. W niedzielę dnia 25-go z. m. urządziło miejscowe Towarzystwo śpiewu w sali p. Lepella wspólną zabawę, na którą także i obywatelstwo z Odolanowa zaproszone zostało. Lecz niestety, z obywatelstwa polskiego prawie ani jeden nie raczył przybyć, ale iść do Vereinshausu, to był czas, tam było przepełnione. Naturalnie może tam się lepiej zabawią aniżeli w towarzystwie polskiem. Ale nawet i panienki, które do Koła śpiewackiego należą, nie raczyły brać udziału w powyższej zabawie, ale do hakatystów lecą jak opętane; tam im się wygodniej tańczy. *Swój.*

* **Toruń**, dnia 27-go lutego. Tutaj urządził w dworze Artusowym Komitet złożony z miejscowych dygnitarzy pruskich biesiadę na cześć srebrnego jubileuszu niemieckiej pary cesarskiej. W skład rzeczonego komitetu zapisał się także ks. dziekan Odrowski, proboszcz u św. Jakóba, obok miejscowego rabina i pastora, oraz posła niemieckiego p. Ortla i znanych z procesu gimnazyastów toruńskich sędziego p. Techmana i prokuratora p. Zitzlaffa.

Biesiada, o której mowa, odbyła się dzisiaj dosyć hucznie. Był „salamander" i śpiewano też piosenki „Ich bin ein Preusse" oraz „Deutschland, Deutschand über alles." Aby wszyscy uczestnicy pieśni te śpiewać mogli, zaopatrzył ich komitet w wydane w tym celu umyślnie śpiewniki. Nadmieniam jeszcze, że plebania ks. Ostrowskiego była dziś wspaniale illuminowana. Za przykładem ks. Odrowskiego, który jest delegatem do komitetu prowincyonalnego, poszedł jego zastępca, kupiec p. B. Hozakowski i również zapalił świeczki, z czego śmiali się nawet Niemcy, wypowiadając głośno zdanie, że to wszystko tylko dla interesu.

Rębajło.

* **Dyseldorf.** Od dnia 11—18-go lutego odbywała się tutaj misya dla Polaków. Kazania i nauki mieli Ojciec Konstanty i Ojciec Korneliusz z Górnego Śląska, Ojciec Bazyli z Dortmundu. Na nabożeństwa licznie się zbierali rodacy nasi z Dyseldorfu i okolicy. Ojciec Bazyli, znający dokładnie nasze stosunki na obczyźnie, wygłosił wzruszające kazanie. Deputacya wysłana z ramienia Komitetu kościelnego podziękowała Ojcom misyonarzom za podjęte trudy i pracę.

W. Ch., czytelnik „Pracy."

Dla braku miejsca mogliśmy korespondencyą tylko zamieścić w streszczeniu. Przyp. Redakcyi.)

* **Sprawy górnicze.** Dnia 11 lutego odbył się w *Essen* w Nadrenii zjazd 157 delegatów górniczych, w którym wzięło także udział 17 delegatów Zjednoczenia zawodowego polskiego i 1 Związku Bratniej pomocy z Bytomia. Zjazd uchwalił kilka poprawek istniejącego prawa górniczego i większej ochrony górnika w stowarzyszeniach knapszaftowych, których rząd chciałby pozbawić reszty samodzielności. Delegaci uchwalili także rezolucyę domagającą się rozszerzenia prawa górniczego na całą Rzeszę niemiecką, dotychczas bowiem inne jest prawo w Westfalii i inne na Górnym Śląsku i inne w innych częściach Rzeszy niemieckiej. Także domagają się delegaci natychmiastowego podwyższenia płacy.

Rok temu prawie jak wybuchnął strejk górniczy we Westfalii. Niestety górnicy zwycięsko z tego strejku nie wyszli, położenia swego nie poprawili. Był już nawet czas, że nowy groził wybuchnąć strejk. Tak wielkie jest niezadowolenie pomiędzy górnikami. Rząd Rzeszy dobrzeby zrobił, gdyby żądania górników uwzględnił, inaczej nie pozbędzie się obawy o nowe strejki, na których nie tylko robotnicy i przemysłowcy, ale także i państwo cierpi.

My pragnęlibyśmy tego szczególnie ze względu na tysiące naszych, którzy z nadzieją zdobycia sobie lepszego bytu poszli w świat, a muszą teraz cierpieć biedę niemałą.

Ruch w Towarzystwach.

— *Sprawozdanie roczne Oddziału Kołowników Sokoła Poznańskiego za rok 1905.* Zarząd Oddziału tworzyli druhowie: W. Frąckowiak, przewodniczący, P. Pewiński, przodownik, Fr. Masadyński, zastępca przodownika, B. Karge, sekretarz, Wł. Karge, skarbnik, B. Samoliński i Ign. Zurkiewicz, radni.

Członków liczył Oddział na początku roku 54. W bieżącym roku przystąpiło 4, wystąpiło 11, tak iż obecnie liczy oddział nasz 47 członków.

Zebrania odbywały się w sezonie letnim co dwa tygodnie, w czwartek, zimą co czwartek po 15 każdego miesiąca. Zebrań odbyło się wogóle 27 i to: 16 zwyczajnych, 7 zarządu i 4 nadzwyczajne.

Ćwiczenia rejowe wyprowadził oddział w tym roku na zlocie w Obornikach. Wycieczki odbywały się w każdą niedzielę i święto. Ogółem odbyło się 32 wycieczek z ogólną liczbą 7856,4 klm., tak, że na każdego z 28 druhów biorących udział w wycieczkach przypada przeciętnie 270,6 klm.

Kategorya I do lat 28 ujechała 6494,4 klm. Kategorya II do lat 35 ujechała 1350,0 klm. Kategorya III ponad 35 ujechała 12,0 klm.

Przepisaną ilość kilometrów ujechali w kategoryi I druh Tuliszka 1183,5 klm., w kategoryi II druh M. Nagel 328 klm., za co otrzymali medale pamiątkowe. Staraniem Oddziału odbyły się jak rokrocznie tak i w tym sezonie 3 wyścigi i to w maju wyścigi objazdowe na przestrzeni 73 klm., w czerwcu wyścigi dystansowe na przestrzeni 50 klm., w wrześniu wyścigi o mistrzostwo Oddziałów Kolarskich Sokolich, połączone z wyścigami nowicyuszów i z ustępstwami. Mistrzostwo w roku 1905 zdobył członek Oddziału naszego druh Fr. Masadyński. W wyścigach tych wzięli także udział członkowie Oddziałów Kolarskich Sokolich z Berlina, Gostynia i Wildy.

Fundusz toru wyścigowego wynosi do 31-go grudnia 1905 1147,02 mrk. Kwota ta umieszczona jest w Banku Przemysłowców. Odnośna książka depozytowa znajduje się u druha M. Zabłockiego.

Nadmienić wreszcie wypada, że Oddział nasz obchodził w tym roku 10 letnią rocznicę istnienia, przy udziale około 70 członków i gości.

Zabawa karnawałowa odbyła się dnia 4-go lutego na sali Sterna.

Na walnem zebraniu w dniu 1-go lutego r. b. wybrano do zarządu na rok 1906: prezesem Wincentego Frąckowiaka, sekretarzem Bolesława Kargego, przodownikiem M. Tuliszkę, zastępcą Biskupskiego, skarbnikiem Wł. Kargego, radnymi Pewińskiego i Ign. Żurkiewicza. Czołem!

W. Frąckowiak, przewodniczący. *Bol. Karge*, sekretarz.

— *Tow. Młodzieży polsko-katolickiej* na Wildzie obchodziło w ub. niedzielę pierwszą swoją rocznicę, połączoną z koncertem i występem teatralnym.

Rocznicę zagaił gorącem przemówieniem patron Tow. ks. Gapczyński, wikaryusz u Bożego Ciała. Następnie wygłosił p. Seweryn Wrzesiński, wicepatron napisany przez siebie a za-

stosowany do uroczystości prolog „do młodzieży“. Popisy muzyczne i śpiewne członków Tow. uzyskały szczere uznanie i gorące oklaski. Równie dobrze wywiązali się amatorzy z swoich ról w sztuce „Gwiazda Syberyi“. Role te, aczkolwiek wymagają więcej aniżeli amatorskiego talentu — i niemałej rutyny, zostały odegrane z dobrem zrozumieniem i należytem przejęciem.

Po tej części urzędowej odbył się skromny wieczorek taneczny. Bawiono się wesoło i ochoczo.

Młodemu Tow. życzymy serdecznie jak najlepszego rozwoju.

— *Tow. św. Józefa w Bernburgu* (nad rzeką Saalą — księstwo anhaltskie). Tow. odbyło w ub. roku 24 posiedzeń bądź to zwyczajnych, bądź połączonych z uroczystościami okolicznościowemi.

Członkowie przystępowali 3 razy pod sztandarem do komunii św. Niemniej brało Tow. kilkakrotnie udział w uroczystościach i rocznicach tow. sąsiednich n. p. Tow. św. Stanisława w Offleben p. Brunświkiem, Tow. św. Piotra i Pawła w Egeln, Tow. św. Franciszka Ksaw. w Greppinie p. Bitterfeldem oraz w zjeździe delegatów Związku Tow. polsko-katolickich.

Podczas pobytu swego w Bernburgu odwiedził Tow. nasze dwukrotnie ks. Polak. Byli także na zebraniach naszych miejscowy ks. proboszcz i wikary i także nauczyciel (w jakim celu nauczyciel? — prosimy o odpowiedź Red. „Pracy“.)

Oprócz 2 wieczorków rodzinnych urządziło Tow. także zabawę z tańcami — oraz gwiazdkę. W gwiazdce wzięło udział oprócz dorosłych także *138 dzieci*, z tych atoli *tylko 5 popisywało się polskim śpiewem i deklamacyami!* — (Czy reszta dzieci wogóle już nie umie po polsku? — prosimy o odpowiedź. Red. „Pracy“.)

W ciągu roku przystąpiło do Tow. 11 nowych członków, wystąpiło 3, tak że obecnie liczy Tow. 45 członków.

Majątek Tow. wynosi 129,93 mk. Z tych 100 mk. jest w kasie oszczędności (czy w polskiej? — Red.) a 29,93 mk. u skarbnika. Dochód Tow. w ub. roku wynosił 127,70 mk. — rozchód 121,87 mk., pozostało 5,43 mk., które wliczono do majątku. Członkowie wspierali nadto kilkakrotnie dobrowolnemi składkami członków chorych, i składali na chorągiew dla Tow. Polskich Przemysłowców na obczyźnie.

Z pism abonuje Tow. „Dz. Berliński“, członkowie czytają nadto „Pracę“, „Górnoślązaka“, „Gazetę Gdańską“, „Gaz. Grudziądzką“, „Przyjaciela“ i „Wielkopolanina“.

Dnia 11-go lutego odbyło się walne zebranie w obecności 24 członków, gościa i kilka pań. Do nowego zarządu obrano pp. Józefa Spychalskiego prezes., Karola Kożucha zast., Michała Goryniaka sekret., Ign. Pokornowskiego zast., Ant. Osadowskiego skarbnikiem, Stef. Kiełbowskiego zast., Fr. Guzka bibl., Jak. Szymańskiego rewizorem kasy, Tom. Chorążego i Kar. Kożucha chorążymi, Wojc. Hajdera i Jana Leśniaka asystentami.

Józef Spychalski, przewodniczący. *Michał Goryniak*, sekretarz.

— *Hala nad S.* W niedzielę dnia 18 ub. m. odbyło się walne zebranie tutejszego polsko-katolickiego towarzystwa *„Orzeł.“* Przewodniczący p. Siwek zagaił przy udziale 15 członków, 5 gości tutejszych i 2 gości z Lipska o godz 7 posiedzenie. Po przywitaniu gości odśpiewano wspólnie pieśń: „Nie dbam jaka spadnie kara“. Następnie skarbnik i sekretarz zdali sprawozdanie i nastąpiły wybory zarządu do którego wchodzą panowie: J. Kurczewski, przewodniczący; Fr. Kępiak, zastępca przewodniczącego; J. Kaczmarek, skarbnik; R. Kurczewski, sekretarz; Fr. Kurzawski, bibliotekarz.

Po różnych debatach zamknął pan prezes o godz. 11-tej posiedzenie hasłem towarzystwa „Szczęść Boże“.

Zebrania odbywają się co niedzielę wieczorem w lokalu *„Jägershof“ ul. Lipska 64* i jest nam każdy Polak tu dotąd przybywający mile widziany. Z gazet czyta Tow. „Pracę“.

W imieniu Zarządu
Roman Kurczewski,
sekretarz.

Od Redakcyi.

W różne strony. Dziękujemy Szan. Czytelnikom i Czytelniczkom za listy w sprawie ostatniego okólnika ks. Arcybiskupa. Cieszy nas to szczególnie, że spokojna i rzeczowa ocena nasza tego okólnika została należycie zrozumiana. Wszystkim korespondentom i korespondentkom przesyłamy serdeczne pozdrowienia.

W. O. Wrocław. Tłomaczenie utworów jakichkolwiekbądź dozwolone jest tylko za pozwoleniem — samego autora. Jeżeli autor nie żyje, należy postarać się o pozwolenie spadkobierców.

M. W. w Poznaniu. Prosimy osobiście zgłosić się do redakcyi.

Panu L. W. Wielichowo. Polecimy, gdy się ktoś jeszcze do nas zgłosi.

Panu Stan. Radeckiemu w Poczdamie. Dawno ustawione. Z powodu braku miejsca dotąd być nie mogło, ale na pewno będzie. „Praca“ zawodu Panu nie sprawi, niech się Pan o to nie obawia.

Panu T. Zul. w Kościerzynie. Prosimy zgłosić się do pp. K. Tadeusza albo W. Derdy w Kościanie — Kosten i/P.

Panu J. W. w Komorzu. Według zaczerpniętych przez nas informacyi, polskich garbarzy niema wogóle. Takie garbarnie, o jakie pan się dopytuje, są na zachodzie w Worms — niemieckie.

S. R. 100 w K. — Nie może!

Panu Dyonizemu D. w Hamburgu. — Listu nie otrzymaliśmy, prosimy o notatkę a chętnie zamieścimy.

Panu S. R. 100. w Poznaniu. — W każdym prawie numerze „Pracy“ w „dziale ilustrowanym“ są zamieszczone wiersze patryotyczne, więc wybór do deklamacyi nie trudny.

„PRACA“
powinna znajdować się w każdym domu szczerze polskim.

Nadzwyczajny dodatek do nr. 9-go „Pracy.“

List pasterski na Wielki Post.

FLORYAN

ze zmiłowania Bożego i św. Stolicy Apostolskiej łaski Arcybiskup gnieźnieński i poznański tejże Stolicy Apostolskiej Legat urodzony itd., obu Archidyecezyi *pozdrowienie i błogosławieństwo Arcypasterskie w Panu.*

Najmilsi Moi!

Św. Augustyn napisał, zwracając się na wstępie swych „Wyznań“ do Boga, znane owe słowa:

„Stworzyłeś nas dla Siebie i niespokojnem jest serce nasze, aż nie spocznie w Tobie“.

Nikt może nie doznał na sobie samym tak głęboko prawdy tych słów, jak właśnie ten, który je napisał.

Jakże rwało się wielkie serce św. Augustyna do szczęścia, jakże pragnął prawdy potężny jego umysł! A jednak nadaremnie szukał szczęścia i prawdy przez pierwsze trzydzieści lat swego życia. Z błędu przerzucał się w błąd, aż w końcu zwątpiwszy o wszelkiej prawdzie, szukał zadowolenia w uciechach zmysłowych. Ale spokoju nie zaznał.

W sposób wzruszający opisuje w swych Wyznaniach, ile udręczeń przechodził, w jakiem znajdował się rozdarciu wewnętrznem. Ale, że Bóg tym, którzy Go szczerze i wytrwale szukają, światła Swego nie odmawia, więc i dla Augustyna św. wybiła godzina nawrócenia. I tak potężnie uderzył Bóg łaską w serce jego, iż nią zwyciężony padł na kolana i we łzach pokuty począł wyznawać wiarę i miłość w Jedynego Prawdziwego Boga. Wtedy dopiero znalazł to, czego tak długo napróżno szukał: znalazł szczęście i spokój. I po tych to przejściach napisał niejako krwią własnego serca one przytoczone na wstępie słowa:

„Stworzyłeś nas dla Siebie i niespokojne jest serce nasze, aż nie spocznie w Tobie“.

Prawdę wyrażoną temi słowy, pragnę Wam, kochani Dyecezyanie, w niniejszym liście pasterskim rozwinąć i przedstawić, że jedynie wiara w Boga daje człowiekowi prawdziwe szczęście.

Dzieje człowieka każdego od kolebki aż do ostatniej życia chwili, i dzieje całej ludzkości od samych początków aż po dziś dzień są bezustannem szukaniem szczęścia. Ale ani ludzkość ani człowiek pojedyńczy dotąd na ziemi szczęścia nie znaleźli, bo szczęścia zupełnego tutaj nie ma. Jako chrześcianie wiemy, iż jesteśmy wygnańcami, synami Ewy, pielgrzymującymi do raju utraconego, do ojczyzny niebieskiej, do wiecznego i doskonalego szczęścia. A tu na ziemi dane nam jest tylko szczęścia tyle, byśmy nie omdleli wśród drogi życia i mieli dość siły, by dojść do celu pielgrzymki naszej. A tej cząstki prawdziwego szczęścia ziemskiego w czem szukać?

Zdawałoby się, że ludzie po tylu tysiącach lat gonitwy za szczęściem, powinni byli nareszcie dojść do zgodnego przekonania, na czem istotnie ono polega. Tymczasem większość ludzi i dotąd goni przez całe życie za marą złudną pomijając to, co jedyne człowiekowi dać może tę nam przyznaną cząstkę prawdziwego szczęścia.

Są bowiem rzeczy, mogące się przyczynić bezwątpienia do pomnożenia uczucia szczęśliwości, zdrowie, mienie, stanowisko zaszczytne, przyjaźń. Dla tego też o nie w godziwy sposób starać się nam wolno. Ale nie łudźmy się! One same z siebie szczęścia nam dać nie są zdolne. Kto uczucia szczęścia w własnem sercu nie posiada, tego bogactwa ani godności nie uszczęśliwią. Utrudzi się i umęczy, poświęci nieraz zdrowie i siły, a osiągnąwszy wszystko, czego pragnął, czuje czczość, próżność i niezadowolenie. Dla tego upomina doświadczony własnem życiem św. Augustyn i przestrzega ludzi: *Szukajcie, czego szukacie, ale tam go nie ma, gdzie szukacie. W rzeczach zewnętrznych,* powiada św. Augustyn, *szczęścia prawdziwego nie znajdziecie, więc go tam nie szukajcie.* I z Izajaszem prorokiem (Iz. 46. 8.) nawołuje nas: *Nawróćcie się do serca — we własnem sercu szukajcie szczęścia, w sercu, co wierzy i ufa Bogu* (Wyznania św. Aug. ks. 4 rozdz. 12) *bo jedynie wiara w Boga daje człowiekowi prawdziwy pokój.*

W Rzymie na wzgórzu palatyńskiem wznosiły się mury pałaców cesarzy rzymskich. Cokolwiek kosztownego i pięknego posiadał świat ówczesny, złożyło się na to, by najwyszukańszym przepychem otoczyć życie władzców ziemi. Nigdy w świecie i nigdy na ziemi nie zgromadziło się tyle chwały, bogactwa, potęgi, jak tam na onem wzgórzu palatyńskiem. Ale jednej rzeczy tam brakowało — *szczęścia i pokoju.*

A w tym samym czasie w małem miasteczku Nazaret na ziemi galilejskiej, żyła uboga rodzina rzemieślnicza. Proste ich życie, twarda ich praca były codziennym ich udziałem, kawałek chleba zwyczajnego ich pożywieniem. Ale pałace cesarskie nie lśniły się tak od słońca i purpury, jak ów ubogi domek Nazaretański promieniał od szczęścia i pokoju. A jeżeli się spytamy, skąd ta radość nadziemska na twarzach rodziny świętej, to nie znajdziemy innej odpowiedzi jedno tę, że wiara i ufność w Opatrzność Bożą i poddanie się zupełne woli Bożej były podstawą i źródłem szczęścia w domku Nazaretańskim.

Jeżeli rozszerzymy porównanie na społeczeństwo pogańskie i chrześciańskie w pierwszych wiekach naszej ery i dochodzić będziemy przyczyny, dla której świat ówczesny pogański, choć stanął u szczytu rozwoju swej kultury, tak chorym był wewnętrznie i zgrzybiałym, — a dlaczego powstające podówczas społeczeństwo chrześciańskie, choć prześladowane i wzgardzone, tak pełne świeżości, życia i zapału świętego — to nie zdołamy innego przytoczyć wytłomaczenia, jak tylko to, że treścią życia chrześcian była głęboka i życie ich regulująca wiara w Boga, podczas gdy w świecie pogańskim całe życie pragnienia ziemskie i namiętności ludzkie wypełniały.

Narody i jednostki tylko wtedy są szczęśliwe, gdy oprą życie na wierze w Boga. Jeden z wielkich mędrców greckich żądał, aby obywatela, nie wierzącego w Boga, wypędzono z kraju jako największego wroga państwa, bo twierdził, że bez wiary w Boga nie morze się utrzymać ład i porządek, od którego zależą pomyślność i rozwój państwa.

I słusznie. Bo tylko wtenczas jest uszanowanie zwierzchności, są przestrzegane prawa, broniące bezpieczeństwa życia i mienia obywateli, jeżeli ludzie wierząc, że wszelka władza pochodzi od Boga, czują się w sumieniu obowiązani do posłuszeństwa. Gdy pamięć na sprawiedliwość Bożą, na karę lub nagrodę w życiu przyszłem nie hamuje ludzkich namiętności, wtenczas próżne i słabe są wszelkie prawa ludzkie. W życiu społecznem musi nastąpić zamęt, rozprzężenie, niepewność jutra, chwieje się i ginie szczęście i pomyślność państw i narodów. Ztąd też od podkopania wiary w Boga zaczynała się zawsze dotąd rewolucya polityczna czy socyalna.

(Dokończenie nastąpi.)

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Dwudziestoośmioletnie wygnanie
czyli
ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci.
Zdarzenie prawdziwe z 1835 r.

5)

(Ciąg dalszy.)

„Powiedz, zaklinam cię na twój charakter, nie taj nic przedemną, odkryj mi myśli, choćby te przeciwko mnie nawet były! przeciwko naszemu związkowi! Może mimowolnie w twoich uczuciach zachodzi jaka zmiana. Luby mój! ja cię o nic winić nie będę, ani skarżyć się! Ja nie wiem sama mój drogi, dla czego takie twoje wyznanie więcej mogłoby mnie uspokoić jak dzisiejsza pewność; jeden tylko jest środek do mojego szczęścia, być twoją na wieki, w przeciwnym razie, jeden do uspokojenia, choć cokolwiek pewności, że ty bezemnie byłbyś szczęśliwy, i że ja całkiem do twojego szczęścia nie jestem potrzebną. Lękam się mój drogi, czy ja ci się może mojemi listami nie staję natrętną! nie luby! abym myślała byś mnie już nienawidził, bo i za cóż, lecz ja pomyślę o opłacie tychże, tego się lękam nie znając twoich funduszów".

„Wyobraź sobie drogi Wincenty, do jakiego stopnia jestem nieszczęśliwą, kiedy jedynego szczęścia, jedynej pociechy na ziemi, odebrania twojego listu pozbawiają mnie! Pisałeś do mnie na ręce twojej siostry, dobra Rafalina list twój przysłać mi raczyła, lecz Antoni go odebrał, i nie wiem czy z troskliwości, lub dla innych powodów, dosyć, że największą tajemnicę wraz z ojcem robią przedemną, i tylko siostra moja, ten anioł dobroci, Wincenta, znalazłszy przypadkiem w jego stoliku bilecik od Rafaliny do mnie pisany, pokazała mi, twego zaś listu całkiem dopytać się nie mogłam. W tym zaś bileciku Rafaliny, nad to że żyjesz, nic się nie dowiedziałam.

„Twoje więc teraźniejsze położenie, twoje projekta, życzenia, są dla mnie zupełnie obce, a od tego moje szczęście, moje życie zależy. Uważam, że moja rodzina prócz Wincenty, zerwaniem z tobą komunikacyi stara się zniweczyć nasze stosunki... Śmieszni ludzie! oni sądząc po sobie, myślą, że tak jak oni sto strat mieć będą, o stu zapomną, i po stu się pocieszą, gdy tymczasem ja jednej nie przeżyję! Od nieszczęsnego twego wyjazdu, nie miałam zręczności skomunikowania się z tobą i otwarcie donieść ci o wszystkiem, chociaż pod adresem twojej siostry, komendanta i placmajora cytadeli warszawskiej, kilka razy pisałam.

„Trzeba ci więc wiedzieć mój drogi, że od dnia rozłączenia się naszego, nękana okropnemi przeczuciami, tęsknotą i niespokojnością, zdrowie moje nadzwyczajnie pogorszać się zaczęło, wiadomość zaś o twojem więzieniu, dopełniła miary cierpień. Osądzona przez doktorów prawie na umierającą, cieszyłam się, że skończę; nie chciałam przyjmować żadnej pomocy lekarskiej, i byłam już według ich twierdzenia blisko obłąkania, gdy myśl, że kto się mój drogi, tobą opiekować będzie, wróciła przytomność i żyć kazała. Słaba, cierpiąca, wyjechałam do kąpiel wraz z Wincentą. Odtąd ustały wiadomości o tobie, lecz natomiast bajek mnóstwo, i wszystkie najniekorzystniejsze na twoją stronę, i na nieszczęście, jak pierwej prawdę kryto przedemną, tak bez litości wszystkie bajeczne wiadomości na ciebie powymyślane, jak najakuratniej, nawet na kuracyi musiały mi być udzielane.

„Wyobraź sobie, jak silnie starano się czerniąc cię, posuwać swoją niegodziwość, kiedy w boleściach moich czułam niejednokrotnie, że twoja śmierć nawet mniej by mnie kosztowała. Wierzaj mi mój kochany, ten wypadek więcej mnie jeszcze poróżnił z ludźmi, i gdyby nie pewność, że ty na chwilę nie mogłeś i nie możesz być występnym, możebym nawet wierzyć przestała, że na świecie cnota istnieje. Wracać więc do domu, w którym wszystko tak okropnem było dla mnie, komunikować się z osobami, które nienawistne stały się dla mnie, rady przytem doktorów, że dla mnie koniecznem jest oddalenie się od wszystkich wspomnień,któreby na moje zdrowie więcej działać mogły, chęć nakoniec uratowania życia może kiedyś tobie przydać się mogącego, zniewoliły mię udać się do kuzynów pode Lwowem mieszkających, gdzie od kilku miesięcy bawię. Ztąd więc piszę do ciebie mój drogi i donoszę ci że dochody, jakie się nam obydwóm z majątku należą, wypłaca Antoni, mogę więc nietylko dochodami mojemi, ale i siostry mojej z jej pozwolenia rozrządzać, które wystarczą na nasze utrzymanie pozwól mi więc na Boga, do ciebie przyjechać.

„Lecz mój drogi aniele, nie proszę cię przez litość, którąbyś gotów twojem nieszczęściem okupić, ale na twój honor, na charakter zaklinam cię, napisz mi otwarcie, nie stawiaj mię proszę cię w okropnej i fałszywej pozycyi doświadczenia litości; nie taj! napisz co myślisz, otwórz mi serce, chciej wierzyć, że dla mnie nie masz ofiar, trudnych do uskutecznienia, do poświęcenia się dla ciebie. Życie? to mało, ono nie ma żadnej ceny dla mnie. Ja nie mam innych życzeń, innych modłów, jak o twoje szczęście! zaklinam cię więc na wszystko, pisz jak najspieszniej i jak najotwarciej, pamiętaj mój drogi że moje do ciebie przywiązanie i moje okropne cierpienia nadały mi prawo do twej ufności!"

Jeszcze jej list pisany do mnie:

„Drogi Wincenty! Po napisaniu listu do ciebie na ręce siostry twojej Rafaliny, w którym ci donosiłam o przytrzymaniu listu twojego przez Antoniego, tenże odebrałam, jest on widać pierwszy z Uralska, i choć co mogłam starałam się w tamtym umieścić, w twoim jednak znalazłam ważne szczegóły, na które ci mój drogi, muszę odpowiedzieć.

„Sam mi piszesz, że związki nasze są święte, że przestrzeń trzech tysięcy wiorst i Twoje położenie wpływać by na nie niepowinny, ja ci zaś powiadam z mej strony, że nie tylko mil trzytysiące, lecz miliony, światy całe, ani rady, ani czas, ani zgon twój nawet, ani Bóg sam, słowem nic na ziemi, na zmianę moich uczuć wpłynąć nie może.

„Drogi Wincenty! zaklinam cię więc na wszystko co ci jest miłego i świętego na niebie i ziemi, uwolnij mię nadal od podobnego sposobu pisania, od podobnych dymisyi, chyba że chcesz abym uwierzyła, że związki nasze są do twej pomyślności zawadą, że one cię cięża, i to w takim nawet razie, przez litość nic podobnego nie powtarzaj! Zlituj się, zbyt wiele cierpiałam i cierpię, i jeżeli do wszystkich innych uczuć straciłam prawo, uczucie litości niech się w tobie odezwie, bo nie pojmujesz mój drogi, jak ostatek sił, męztwa, spokojności, twoje wyrazy mi odebrały.

„Wzajemne są i równe nasze prawa i stosunki, nie chcę więc mój drogi, abyś mię w szlachetności przewyższał, i co ty uważasz za krok święty, dla mnie nie mniej jest ważnem, nawzajem cię też uwalniam od twojego słowa, od twoich przyrzeczeń, jesteś w tym względzie kompletnie wolnym.

„Bóg widzi, którego tylko o twoje szczęście błagam, że jakkolwiek i kiedykolwiek, przeciwnie twoim przyrzeczeniom, zarządziłbyś swoją osobą, najmniejsze uczucie niechęci nie odezwie się we mnie. Bądź szczęśliwym, to dosyć dla mnie.

„Co do mnie, jeszcze ci jedną do tysiącznych przysiąg dołączam, że niczyją, jeżeli twoją nie będę... To ci dobrowolnie przysięgam w imię Boga i tego wszystkiego co jest świętem na ziemi i niebie, i jeszcze jedną dodaję ci prośbę, a to jest, w podobnym guście nigdy mi nie pisz, jeżelim ci kiedy miłą była.

„Drogi i jedyny Wincenty! ty teraz o wiele jeszcze stałeś się droższym dla mnie!! Kto ma cokolwiek uczuć, możeż inaczej jak z uwielbieniem myśleć o tobie! Droga i niewinna ofiaro! właśnie wtenczas, gdy ty męczennikiem byłeś twoich poświęceń w cytadeli, w której sędziowie twoi cię cenili i szanowali, niegodziwi ludzie silili się na czernienie ciebie. Jedna tylko Albina nie wierzyła i cierpiała! a ty teraz jedyną pociechę, za tyle mąk piekielnych, chciałbyś mi odebrać, radząc mi zerwanie związków, które w boleściach nie do pojęcia, są dla mnie szczęściem,

są dumą. Zaklinam cię na wszystko, że moich cierpień za najświętsze losy, korony, berla, za nic na ziemi nie mienialabym.

„Nie mogę ci tu także, zawsze mi drogi Wincenty, nie podziękować za milą opinię... Piszesz mi, że znając, jakie czas w podobnem, jakie jest nasze położenie, skutki sprawić może, postanowiłeś zrazu nie zgłaszać się do mnie, jednem słowem myślałeś, że jak wiele osób po stratach, tak i ja idąc tym torem, , tydzień się posmucę, na drugi uspokoję, a na trzeci zapomnę. Takie miłe mniemanie, może tylko usprawiedliwić twoje zrzeczenie się do mego przywiązania i do mej stałości!“

Parę jeszcze listów odebrałem od Albiny w podobnym guście, wszędzie podobna miłość, prośby, oświadczenia i domagania się na jej przyjazd pozwolenia; tknięty jej cierpieniami, pałając równie najwyższą chęcią połączenia się z nią, napisałem do niej co następuje:

„W czterech listach twoich, najdroższy mój aniele, z największą, bo nie do opisania radością,wyczytałem miłość twoją w najżywszych kolorach się malującą, prosisz mnie i zaklinasz drogo istoto, o pozwolenie ci przyjazdu dla połączenia się naszego! com uczuł czytając twoje słowa, z jakiem uszczęśliwieniem wyobrażałem sobie, że moje najgorętsze życzenia odemnie zależą, ty tylko jedna, kochana i kochająca, możesz to pojąć i najlepiej zrozumieć. Upojony najszczęśliwszą przyszłością, chwyciłem pióro, i wyciągając do ciebie ramiona, chciałem cię rękami zagarnąć i do mojego bijącego serca przycisnąć, lecz gdy minuty pierwszego uniesienia ustąpiły chwilom rozwagi, patrząc jedynie ze stanowiska twoje jedynie szczęście na celu mającego, napisałem ci pod datą 7-go lipca, następnie 3-go sierpnia abyś się wstrzymała; powody jakie mnie do podobnej odpowiedzi zmusiły, wierzaj mi moja droga, że tylko twoje szczęście miały na celu. Wyobraź sobie, dotąd żadnego listu od mojej familii nie odebrałem; dalej jakkolwiek uczuciom twoim i charakterowi wierzę święcie, sumienie jednak moje nie dozwalało mi z twoich pierwszych zapałów i uniesień korzystać, bo gdy się zastanowisz, jak wielkie poświęcenie z siebie robić zamyślasz, jak w daleką puszczasz się drogę, i jaki los czeka cię z osobą, która prócz serca wiecznie i wyłącznie do ciebie należącego, nic ci zapewnić nie może, uznasz dopiero, żeś z chęciami swojemi się pospieszyła.

„A wreszcie obok innych równie ważnych powodów, był i ten jeszcze, że o zezwoleniu ojca twego nic mi nie donosiłasz i myślałem, że on tknięty nakoniec twym stanem, nietylko na twój przyjazd dozwoli, ale i dopomoże, gdy tymczasem nic mi o tem nie piszesz...

„Te były i wiele innych przyczyn, które mi tak ci napisać kazały. Lecz kiedy w tylukrotnych odezwach twoich, jedno i tożsamo powtarzasz, i przeciąg czasu uczuć twoich nie zmienia, pewny przytem, że bez wewnętrznego zaspokojenia, szczęśliwą być nie możesz, nietylko na twój przyjazd zezwalam, ale nadto u nóg się twoich ścieląc, proszę cię wierzaj mi że ty tylko jedna, połączeniem się ze mną, możesz mię uszczęśliwić, a zatem błogosławię cię krzyżem świętym, w Imię Boga i naszej świętej miłości, przyjeżdżaj, proszę.

„Droga Albino, za błogosławieństwem ojca idzie i Boskie, gdybym cię nie znał, rozpisałbym się w tej materyi obszerniej, lecz znając cię, ograniczam się tylko prośbą, abyś go uzyskała i przywiozła.“

Dalej obszerną dając jej instrukcyę, jak ma postępować w tak dalekiej drodze, żeby bez służącej nie jechała, jakiemi końmi i ekwipażem, wybrać się z domu, jak przestrzegać się przeziębnięcia w nocy choć letniej, ale chłodnej w moskiewskim klimacie, zaleciwszy jej wreszcie roztropność i ostrożność z furmanami i gospodarzami na noclegach, przepisawszy jej nakoniec traktat, którym ma jechać, kończę temi słowy:

„Napisz mi moja droga stanowczo twój zamiar ostatni i datę wyjazdu z domu, lecz bądź przekonaną, że jak pomyślę co cię czeka w tej drodze, na ile cierpień, nieprzyjemności i niebezpieczeństw narażoną być możesz, drzę cały, lękam się i chciałbym cofnąć moje pozwolenie; ale jeżeli zwyciężasz to wszystko, to w przywiązaniu mojem i poświęceniu się znajdziesz nagrodę! i przyszłość nasza, czyli pożycie, okażą się w tem świetniejszych kolorach, im droga do nich, większemi będzie usłana cierniami, a zatem raz jeszcze powtarzam i proszę w imię krzyża świętego, przyjeżdżaj!“

VI.

Na przeciwnym brzegu Kaspijskiego morza od strony Uralska, była niewielka forteczka, kamieniami do wysokości człowieka obłożona. Kilka wewnątrz niewielkich zbudowanych domów drewnianych, na mieszkanie komendanta i kilku oficerów przeznaczonych, koszary, odwach i kilka dział na parapetach postawionych, składało całe tej twierdzy ufortyfikowanie. Była ona postawiona na prędce, i miała wówczas w terytoryum sto sążni kwadratowych.

Po obszernych stepach Azyi, koczujący Kirgizy, napadali na spokojnie po morzu Kaspijskiem pływających kupców moskiewskich, rybołóstwem się trudniących. Przy tych napadach Kirgizy zwykle nie przestawali na samej tylko grabieży, lecz kiedy im się udawało, palili wodne statki, brali Moskali w niewolę i do Chiwy ich przedawali. Rząd przeto moskiewski oburzony, miał pretekst fortecę tę na ich brzegach wystawić, ażeby osadzony tam garnizon, bronił podobnych nadużyć, ale zarazem mógł mieć i cel podobny Anglii, która także do podobnej forteczki w Indyach wschodnich panowanie swoje tam rozpoczęła.

Garnizon tam będący, składał się z dwustu żołnierzy piechoty liniowego batalionu, dwustu kozaków uralskich, i oddziału artyleryi.

Miejsce to dla nieznośnego klimatu, dla będących tam na służbie, było najniezdrowsze. Podrównikowe prawie upały rodziły osłabienie, ból żołądka i silne gorączki, które dla braku zdrowej wody i wielu innych produktów do pożywienia, zamieniały się w puchlinę i skorbut i nadzwyczajną śmiertelność przynosiły.

Często z całego garnizonu, co pół roku zmienianego, ledwie mniejsza połowa powracała. Właśnie nadchodziła pora posłania z Uralska czwartej kompanii na zmianę; w tej kompanii byłem i ja pomieszczony, i chociaż translokując się do innej roty, mógłbym się był zostać w Uralsku, usilnie jednak sam prosiłem o to, aby mię tam na pół roku posłano.

Zamiary moje do tego kroku były dwojakie: raz, aby oczekiwania moje na przyjazd Albiny nie wydawały mi się za długie, drugi raz, aby grasująca tam śmiertelność i mię zabrała, aby tym sposobem uwolniła najdroższą mi istotę od losu, jaki ją (czułem to instynktem) w Moskwie oczekiwał, jeżeli napisałem do niej, to jedynie dla tego, że wzbraniając jej przyjazdu, posądziłaby mię o zmianę uczuć dla siebie, czego najwięcej się lękałem.

Wyjeżdżając z Uralska, zostawiłem do niej adres zesłanemu tu koledze memu, panu Ignacemu Prądzyńskiemu, obywatelowi z Kaliskiego, z prośbą, ażeby na przypadek, jeżeli o mojej śmierci usłyszy, natychmiast ją o tem uwiadomił.

W końcu jesieni, gdy jeszcze dość ciepło było, przepłynęliśmy Kaspijskie morze, i bez żadnego wypadku do wspomnionej fortecy, Aleksandryjską zwanej, szczęśliwie przybyli. Komendantowi fortecy panu L. nie podobało się to, że ja będąc żołnierzem nie mieszkam w koszarach, tylko w jednej kwaterze z tym dowódzcą kompanii, z którym przybyłem. Z tego powodu wezwawszy go raz do siebie wyrzucał mu w dość ostrych wyrazach, jak on mógł pozwolić mieszkać mi razem z sobą wtenczas, kiedy mu najwyższa władza nademną, jako nad człowiekiem bardzo niebezpiecznym, poleciła mieć najsroższy dozór.

Tak zagadniony porucznik, dość rozsądnie odpowiedział mu, że właśnie najlepszy dozór mieć nademną będzie, mieszkając wraz ze mną razem w jednym pokoju. Ale że w hierarchyi w Moskwie, tego nie lubią, aby młodszy stopniem, był od starszego rozumniejszy, przeto i komendant, krzyknąwszy nań: *ne razsuždat!* co prawie na to wychodzi co „milczeć“, wygnał go z domu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Augustyna Jonasowa.

O zachodzie słońca.

„...Kiedy sobie przypomnę tych, których ta sama śmierć wiodła za rękę: dziwni są... Wydają się więcej zbliżonymi do życia, aniżeli inne dzieci i zdają się nie domyślać niczego... a jednak w oczach ich tak głęboka leży pewność, jakoby wszystko wiedzieli... W chwili, kiedy bracia ich macają jeszcze w ciemnościach, rozbudzając się do życia... oni już stoją z gotowemi rękami i z duszą gotową...“

Maurycy Maeterlinck: „Skarb Pokornych.“ — Rozdział „Ostrzeżeni“.

Wyszedłszy rano za interesami, wracałem w samo południe. Dzień był pogodny, słońce żarem sypało, a powietrze było tak duszne, że oddech zapierało.

Szedłem przy domach, bo tam słońce mniej piekło... naraz i tu mnie dosięgło. Chciałem przejść na drugą stronę, gdzie właśnie położył się cień, kiedy — mijając domek robotniczy — ujrzałem w ogródku małego chłopczynę.

Ogródek był maleńki, zaledwo na dwie grządki, bez drzew, bez cienia. Chłopczyna siedział na niskiej ławeczce, a na jego płową główkę, bez nakrycia, i na plecy rzucało słońce całe snopy swoich gorących promieni. Przeraziłem się na ten widok i zawołałem:

— Dziecko, nie siedź tak w samem słońcu, bo możesz się rozchorować!...

Podniósł głowę, zwrócił na mnie duże, smutne oczy i odpowiedział:

— Mnie nie gorąco, panie...

— Jakto?... Nie gorąco ci w tem słońcu?...

— Nie, panie!... W słońcu przyjemnie... Bez słońca, albo w izbie zimno...

— Zawsze ci zimno, gdy nie jesteś w słońcu? — pytałem dalej.

— Dawniej mi zimno nie było, dopiero teraz, odkąd ich nie ma — dodał smutno.

— Odkąd kogo nie ma?

— Ojca, matki, panie...

— A gdzież oni są?

— Gdzie są — nie wiem... zapodziali się...

— Jak to?... zapodziali się?!... Odeszli i ciebie zostawili? — pytałem zaciekawiony.

— Nie zostawili, nie zostawili!... — mówił z naciskiem. — Poszliśmy wszyscy, ale oni nie wrócili...

A potem już bez pytania mówił:

— To już dawno temu... jeszcze zimą... W niedzielę poszliśmy wszyscy we troje z innymi robotnikami do cara... — zakaszlał się, a po chwili ciągnął dalej: — Aleśmy nie doszli... Po drodze wojsko zaczęło do nas strzelać... Zrobił się lament i krzyk okrutny... Jedni padali... drudzy uciekali... W strachu schwyciłem się mocno sukni matki i biegłem z drugimi, co tchu starczyło... Kiedy już nic nie było słychać, przystanęliśmy... Wtedy zobaczyłem, że się nie matki trzymałem, panie, jeno sąsiady... a matka została tam....

Kiedy to mówił, z dużych, smutnych oczu popłynęły łzy.

— Chciałem się wrócić, ale sąsiadka zabrała mię z sobą, kazała przy oknie siedzieć i patrzeć, to zobaczę, jak pójdą do domu... Siedziałem i patrzyłem... Już było ciemno, a jeszcze patrzyłem, ale nie przyszli i do tej godziny ich nie ma, chociaż to już tak dawno!... Ludzie mówią — ciągnął dalej — że byłoby dobrze dla mnie, gdyby choć jedno było wróciło...

Zatrzymał się... Wtedy, aby coś powiedzieć, zapytałem:

— A które wolałbyś, aby wróciło?...

Zamyślił się, a potem odparł z prostotą:

— Nie wiem, panie... Oboje mnie kochali...

Żal mi się go zrobiło.

Smutne jego oczy posmutniały więcej, a i kaszel zaczął go bardziej męczyć. Chcąc ochronić jego chore płuca, powiedziałem mu, że już muszę odejść, ale jutro, a najdalej pojutrze przyjdę znów i znów pogadamy.

— A możeby ci co dobrego do zjedzenia przynieść... — pytałem.

— Dziękuję, panie!... Jeść mi dają, ile zechcę... — odrzekł.

— A więc nic nie chcesz?...

Znów się zamyślił, a potem nieśmiało, a prosząco mówił:

— Jabym chciał coś, panie... ale to bardzo drogie...

— Cóż to takiego?... Powiedz, dziecko! — rzekłem.

— Chciałbym obraz Bogarodzicy, taki, jaki był w domu, przed którym zawsze modliliśmy się... Bogarodzica, uśmiechnięta... w złocistych ramach... Ale to bardzo drogie, panie, — dodał zafrasowany.

— Czyż u sąsiady nie ma Bogarodzicy?... — pytałem.

— Jest, jest panie!... — mówił prędko, jakoby chciał, abym ani na chwilę nie przypuszczał, że nie ma. — Jest, ale... nie wiem, jakby to powiedzieć... Gdy patrzę na Nią przy modlitwie... może to złe, co chcę powiedzieć... ale mi się zdaje, że się gniewa na mnie, bo się tak nie uśmiecha, jak Ta w domu... a ja się boję, teraz, odkąd ich nie ma, gdy się kto na mnie gniewa... — mówił smutno.

Obiecałem mu, że jak dostanę taki obraz, to mu przyniosę jutro, albo pojutrze.

Dziękował już naprzód, a jego smutne oczy weselej na mnie patrzyły.

. . . .

Na drugi dzień wychodząc wstąpiłem do sklepu obrazów. Nie długo trwało a znalazłem, czego szukałem. Byłem pewny, że to obraz, o który chodziło, bo zapas był znaczny, więc musiał być pokupny. A że był niewielki, kazałem zapakować, zabrałem sam i poszedłem ucieszyć chorego malca. Już z daleka widziałem, że siedział na ławeczce, z głową zwróconą w stronę, w którą wczoraj widział mnie odchodzącego. Czekał więc.

Naraz podniósł się szybko i podbiegł do płocika okalającego ogródek. Spostrzegł mnie widocznie i spostrzegł, że coś niosę. Kiedy zbliżyłem się do niego i zacząłem zdejmować papiery z obrazu, stał bez ruchu, prawie nie oddychając, tylko patrzył.

Ujrzawszy obraz, zawołał z zachwytem:

— To Ona!... To ta sama, co w domu!...

Wyraz nieskończonej błogości i szczęścia oblał jego twarzyczkę. Zapomniał o mnie, o wszystkiem... tylko patrzył, patrzył, a jego zazwyczaj smutne oczy błyszczały radością.

— Tak to ta sama, co w domu!... Jeno tamtę, jak rodzice nie przychodzili, zabrał gospodarz za resztę czynszu... — mówiąc to, znów posmutniał.

Ostrożnie podniósł obraz do góry, i tuż przy samej ramie, niziuteńko pocałował.

Potem zwrócił się do mnie cały drżący i dziękował, dziękował serdecznie, jak tylko dzieci umieją. Widząc, że drży, zapytałem:

— Tobie zimno, dziecko?...

— Nie, panie!... — odpowidział — jeno się tak cieszę!...

Zakaszlał, a po chwili dodał:

— Ten kaszel i to zimno, to od owego pogrzebu w nocy...

Zaciekawił mnie tem powiedzeniem i właśnie miałem zapytać, kiedy on już mówić zaczął:

— Na drugi dzień po tej niedzieli, w którą się rodzice zapodziali, przychodziło dużo ludzi do sąsiadów... mówili, że po południu będzie pogrzeb zabitych... Że wszyscy pójdą... i ja miałem pójść z sąsiadką. A jak inni przyszli, to znów mówili, że ich w dzień grzebać nie będą, jeno na pewno w nocy. Smutno mi było, że nie pójdę i nie zobaczę, jak ich będą chowali. Czy będzie dość światła?... czy ładnie będą śpiewać?.... W nocy spać nie mogłem, bo mi się zdawało, jako wołają, żebym szedł na pogrzeb... Myślałem sobie: wstanę i pójdę... Przynajmniej zobaczę i wiedzieć będę, jak moi pochowani. A że to niedaleko od ulicy, która na cmentarz wiedzie, wstałem cichutko, jeszcze ciszej otworzyłem drzwi i poszedłem....

— A nie bałeś się sam jeden w nocy na ulicy?... — pytałem.

— Nie panie!... Myślałem, kiedy ich zabili, to cóż z tego, chociaż i mnie zabiją?... Dobiegłem ulicy, schowałem się jak mogłem i czekałem... Naraz słyszę tupot.. Położyłem się plackiem, tylko trochę głowę uniosłem, aby wszystko widzieć i zacząłem się modlić i mówić pacierze, to za ojca, to za matkę, to znów za tych innych....

Przerwał na chwilę, a potem ciągnął dalej:

— Patrzę... czarna masa płynie przez całą szerokość drogi, a za nią turkot... Ze strachu w ciemności nic rozpoznać nie mogłem, dopiero jak mijali latarnie, poznałem, że to byli Kozacy... a za nimi jechały wozy, na których, panie, leżeli umarli... bez trumien... jeden na drugim, nie przykryci... to też dźwigali ręce do góry, jakby prosili, aby ich choćby nakryć... Może tam i ojciec i matka byli...

Zamyślił się głęboko; główkę pochylił, jakby go jeszcze teraz ten widok przygniatał.

A potem — jakby się zbudził — wolnym ruchem podniósł głowę, popatrzył na mnie i powiedział prawie szeptem:

— I panu smutno... Chociaż pan tych rąk nie widział...

Znowu zamilkł, a ja milczenia tego przerwać nie śmiałem.

— Takich wozów — zaczął po chwili — ciągnęło się pięć... tak... pięć ich było... a na szóstym stały trumny... Ile ich było, nie wiem na pewne, bo tak były w nieładzie ustawione, że raz zdawało mi się, jako jest ich sześć, to znów, że jeno pięć... Po bokach wozów szli kozacy, a na końcu znów całą kupą kozacy... Już mię dawno minęli, a ja jeszcze klęczałem, bo ukląkłem, panie, jak ujrzałem te sterczące ręce i znowu mówiłem pacierze... Podniosłem się z ziemi i chciałem wrócić do domu, ale ledwo iść mogłem, tak byłem zziębnięty, a nogi zginać się nie chciały... Wszedłem do izby w strachu, aby nie usłyszeli, bo i klamka stuknęła, ale nie słyszeli. Położyłem się, a zęby o zęby tak mi uderzały, że znów się bałem, czy się nie zbudzą... ale spali... Kilka dni leżałem, bo kaszel mnie trapił i zimno mi było... Potem wstałem, ale kaszel i zimno zostało...

— Powinna się była twoja opiekunka lekarza poradzić... — rzekłem.

— Radziła się, panie!... Dwa razy dostałem leki, ale nie pomogły... Za trzecim razem pan doktór pokiwał głową i powiedział, że z wiosną samo się dobrze zrobi... Ale nie zrobiło się dobrze, panie, — dodał z żalem.

Rozstaliśmy się, bo znów kaszel zaczął męczyć jego chore piersi.

. . . .

Odtąd widywałem go częściej.

Zawsze się cieszył, zawsze miał mi coś do powiedzenia. Że Bogarodzica wisi nad jego łóżkiem... że wczoraj słońca nie było... że bardzo kaszlał w nocy... że następnego wieczora dostał mleka z miodem, aby tak nie kaszlał... że mu się śnił ten nocny pogrzeb, i że tyle rąk sterczało, że nie było widać kozaków, jeno same ręce a ręce...

Wypadało mi wyjechać na jakiś czas, może na tydzień, może na dwa. Powiedziałem mu o tem. Zasmucił się bardzo, a kiedym go żegnał, powiedział mi, że się będzie modlił, abym szczęśliwie wrócił.

— I tu będę siedział i czekał, aż pan znów przyjdzie... — a gdy to mówił, jego smutne oczy były łez pełne.

. . . .

Wróciłem po dwóch tygodniach. Na drugi dzień po spieszyłem zobaczyć mego małego przyjaciela.

Już z daleka widziałem, że miejsce, na którem siadywał, było puste, a dzień był piękny, słońce świeciło i dogrzewało. Czekałem w nadziei, że nadejdzie. Po małej chwili drzwi jakieś skrzypnęły, ale zamiast chłopca weszła do ogrodu jego opiekunka. Ujrzawszy mnie,, zawołała żałosnym głosem:

— Nie ma go już panie, nie ma!... Już go nie zobaczycie!... Wczoraj zanieśliśmy go na mogiłki!...

— Jak się to stało!... — zapytałem przerażony. — Czy przyszła na niego inna choroba prócz kaszlu ...

— Nie, panie!... — odpowiedziała. — Kaszlał tylko i nikł prawie w oczach... Tutaj siadywał co dnia, kazał się słońcu ogrzewać i czekał na pana. Na kilka dni przed śmiercią zbudził się pewnego rana bardzo wesoły... taki jak dawniej bywał przy rodzicach i mówił, że mu we śnie powiedziała Bogarodzica, jako się czas czekania skończył, i że nie długo ujrzy rodziców... Cieszył się bardzo... żal mu tylko było, że panu tego powiedzieć nie może. W dzień śmierci już od rana wybierał się do ogródka, ale nie poszedł... ciężko mu widać było... Dopiero po południu zebrał się i poszedł. Posiedział na swojem zwykłem miejscu, popatrzył w stronę, skąd pan przychodzi i wrócił do izby mówiąc: „położę się, matko!...“ (mówił do mnie matko, panie...) bo nie mogę usiedzieć, a i dzisiaj pewno pan nie przyjdzie...“ Że kaszlał, dałam mu mleka z miodem... on to lubił... Wypił, podziękował i powiedział, że będzie spać... Jako też usnął. A o zachodzie słońca... mój Boże... jeno westchnął i już go nie było...

Ocierając oczy dodała:

— Tęsknica go zjadła, panie...

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P.

20) (Ciąg dalszy.)

Ponieważ badanie zamku nie przydało mu się chwilowo na nic, wrócił do pałacu i udał się do pokoju, w którym służba jadała obiady i kolacye. Stósownie do roli, jaką tu odgrywał, zachowywał się zawsze bardzo spokojnie i mówił mało, zwracając baczną uwagę na każde słowo swych towarzyszy. Byłby chętnie zapytał dziś o te drzwi w murze, ale bał się i milczał.

W chwili, w której właśnie zamierzał wychodzić z jadalni, ukazał się pan Aleksander we drzwiach i rzekł rozkazującym tonem:

— Niech jeden z was idzie na ulicę Joubet.

— Aha, do ogrodowego, odparł stangret.

Robert nadstawił uszu — ogrodowy mógł mieć jakąś styczność z drzwiami w murze!

— Tak, — rzekł pan Aleksander. — Kto z was chce iść?

— Ja, zawołał Robert.

— Dobrze. Idź i powiedz mu, aby przyszedł tu jutro rano, pan hrabia chce się z nim rozmówić. Ogrodowy Niels mieszka na ulicy Joubet pod numerem 25.

Robert wziął czapkę i wyszedł.

Po kilku minutach stanął na miejscu i zapukał do drzwi małego domku w podwórzu.

Jakaś stara kobieta otworzyła mu.

— Przybyłem tu z polecenia pana hrabiego Noirville, — rzekł Robert uprzejmie. — Mógłbym się widzieć z panem Nielsem?

— Ah, to pewnie Aleksander cię przysyła, — odezwał się tuż za nim ogrodowy. — No i czego tam chcą odemnie?

—Pan hrabia chce się z panem jutro rozmówić.

— Wiem już o co chodzi! O piękne przystrojenie ogrodu na przybycie młodej hrabiny. Powiedz, że przyjdę.

— A nie zapomnij odnieść klucza, — odezwała się ogrodowa.

— Prawda, zabrałem go z sobą, a pan Aleksander nie pozwala go wynosić.

— Zdaje się, że nie potrzebował go dotąd, to jest, jeżeli państwo mówicie o kluczu od drzwi w murze od ulicy Verneuil, — rzekł Robert na los szczęścia.

— Tak, tak!

— Dajcie mi państwo klucz, a ja położę go na zwykłem jego miejscu, i nikt tego nie spostrzeże.

— Bardzo chętnie, — zawołał ogrodowy, — wyrządzisz mi tem nawet wielką przysługę.

Ogrodowa wyjęła z komody niewielki klucz i podała mu go.

— Gdzie on leży zwykle? — zapytał Robert, usiłując ukryć swoją radość. — Jestem dopiero kilka dni w pałacu i nie wiem jeszcze wszystkiego dokładnie.

— Powieś go w kuchni za drzwiami. Klucz ten nie był już używany od niepamiętnych czasów — zabrałem go raz z sobą, aby ułatwić sobie przejście do ogrodu hrabiego, ale zapomniałem, że rygle z tamtej strony zasunięte. No, mniejsze o to, pan Aleksander żądał go napowrót i teraz mieć go będzie. Więc powiedz, że jutro rano przyjdę o dziesiątej!

Robert wyszedł uradowany łatwem zdobyciem klucza. Nie wątpił ani na chwilę, że to mu ułatwi spełnienie zbrodni i cieszył się tak, jak gdyby go największe spotkało szczęście.

Nazajutrz rano, już o siódmej, wyjechał jak zwykle konno, i na placu Konkordyi spotkał się z Alfonsem.

— Jutro przywiozę ci klucz, — rzekł zaraz na wstępie, — podług którego każesz zrobić taki sam u jakiego dobrego ślusarza w przeciągu 24-ch godzin.

— Do pioruna, to rzecz niebezpieczna! Ślusarz będzie pytał gdzie mieszkam i na co mi taki klucz potrzebny!

— Myślałem już o tem i znam tylko jednego, któremu to można powierzyć. Stary Lappe nie zdradzi nas!

— Więc mam iść do niego?

— Nie, poślij lepiej Lolę.

— Od czego to klucz?

— Powiem ci jutro — dłuższa rozmowa mogłaby zwrócić na nas uwagę policyanta!

To mówiąc spiął Robert konia ostrogami i popędził dalej, nazajutrz zaś przywiózł klucz i dał go Alfonsowi.

A kilka godzin później szła Lola, zakryta gęstą woalką do ślusarza i kazała zrobić drugi klucz do drzwi ogrodowych.

ROZDZIAŁ 18.

W sobotę miał być spisany kontrakt ślubny, poczem pan Nivel wyprawiał wielki obiad, na który zaproszono blizko sto osób. Nora przepędziła cały ten dzień w swoim pokoju zupełnie sama i nawet Helenki widzieć nie chciała. Dzisiejszy dzień rozłączał ją na zawsze z Lucyanem, o którym od chwili opuszczenia jego domu nic już nie słyszała!

Czas szybko upływał, trzeba się było ubierać i stroić dla osób obcych i dla nienawistnego narzeczonego, podczas kiedy ten, którego kochała, na wieki był dla niej straconym!

Była jednak gotową na oznaczoną godzinę i w towarzystwie opiekuna weszła do salonu, w którym zgromadzeni goście czekali na jej przybycie. Byli to wyłącznie krewni Gastona i znajomi adwokata, a jedynemi osobami, które Nora znała, była pani Beaumont i Helenka. Nora krewnych nie miała wcale w Paryżu, ci zaś, którzy mieszkali w Normandyi nie uważali wcale za potrzebne przyjechać na ślub córki człowieka, który za młodu nie przynosił im zaszczytu i wszelkie z nimi zerwał stosunki.

Gaston zbliżył się natychmiast do narzeczonej i przedstawił jej swego najlepszego przyjaciela, pana Anatola Latour, sędziego śledczego w ministeryum sprawiedliwości. Był to młody jeszcze mężczyzna, o twarzy inteligentnej lecz ostrej, a bystre jego oczy zdawały się przeniknąć każdego aż do głębi duszy. Sympatycznego wrażenia nie wywierał jednak na nikim, szanowano go i ceniono jego rozum, lecz nie lubiono go wcale. Nikt nie umiał tak badać oskarżonych jak on, nikt nie prowadził tak zręcznie procesów, jak on, powierzano mu też najważniejsze sprawy i przepowiadano świetną karyerę. Miał on też proces Loli, oskarżonej wówczas o kradzież, a teraz powierzył mu prokurator sprawę nieszczęśliwego Henryka Farces.

Na pierwsze spojrzenie uczuła Nora prawdziwy wstręt do niego, i ledwie zdołała mu odpowiedzieć na to, co do niej mówił.

— Spodziewam się, — rzekł Gaston, — że polubisz mego najlepszego przyjaciela!

— Tak...... ja...... — wyjąkała blednąc.

— Pragnę tego usilnie, — odezwał się Anatol, patrząc przenikliwie na Norę — chociażby już dla tego samego, aby patrzeć z blizka na szczęście mego przyjaciela.

Nora milczała.

Przybycie nowych gości przeszkodziło dalszej rozmowie, Anatol usunął się z Gastonem na stronę.

— Jak ci się podoba Nora — zapytał Gaston.

— Cudowna! Zachwycająca, ale dziwnie jakaś smutna i przygnębiona.

— Nieśmiała raczej — zachowuje się jak pensyonarka! Ale to się wnet zmieni! Nawet przyznam ci się, że wolę, że jest tak nieprzystępna.....

— Ja bym takiej nie chciał! Wszystko rzecz gustu!

Gaston rozśmiał się i odszedł, Anatol zaś stanął tak, że nie będąc przez Norę widzianym mógł ją doskonale obserwować, lubił on bowiem śledzić ludzi i odgadywać myśli tych, z którymi miał do czynienia.

Smutek i bladość Nory nie uszły bystrej jego uwagi i powiedział sobie natychmiast, że ona z miłości nie wychodzi za Gastona.

Przy obiedzie spostrzegł też, że Helenka, patrząc na Norę, miała łzy w oczach, i to potwierdziło jego domysły.

Około czwartej przeszło całe towarzystwo do salonu, gdzie miał być spisany kontrakt ślubny, Gaston życzył sobie wyraźnie, aby czynność ta odbyła się wobec wszystkich

gości. Były też tu wyłożone jego kosztowne podarunki ślubne i zgromadzeni zachwycali się niemi, wychwalając głośno hojność narzeczonego. Te pochwały pochlebiały mu niezmiernie i zadawalały jego próżność.

Służba pana Nivela stała naturalnie pod drzwiami, przysłuchując się rozmowom gości i wymieniając po cichu swoje uwagi, a tym, który stał najbliżej drzwi, był Robert. Służba adwokata znała go bardzo dobrze, nikt mu więc nie przeszkadzał w podsłuchiwaniu.

Nagle zapanowała w salonie głęboka cisza i adwokat zaczął czytać kontrakt ślubny.

I tak wymienił najpierw owe pięć milionów franków, jakie Nora otrzymywała po ojcu pod warunkami, o których tu przecież nic nie wspomniał. Potem wymienił sumę czterech milionów, które Gaston Norze zapisywał, czyniąc ją na przypadek swej śmierci właścicielką swoich majętności ziemskich i pałacu w Paryżu.

Panie zazdrościły Norze takiego męża, panowie unosili się nad jego dobrocią serca, a Nora słuchała wszystkiego obojętnie, apatycznie tak, jak gdyby ją to nic nie obchodziło.

Gaston zapisywał Norze cały majątek z dwóch powodów — najpierw chciał ją ująć bogactwem, a powtóre pragnął wykluczyć od spadku po sobie kilku krewnych, których nienawidził z całego serca.

Robert słyszał wszystko, i drżał, myśląc o tem, że za kilka dni Nora będzie miała nie pięć, ale przynajmniej dziesięć milionów! Śmiał ledwie oddychać z radości! Bo czegóż było potrzeba, aby otrzymać ten cały majątek? Oto tego tylko, aby hrabia Noirwille i Nora umarli bezdzietnie. Wtedy Lola zabierała wszystko!

— Oni umrą! — szepnął. — Najpierw on, bo wszystko jest już do tego przygotowane, a potem ona! Muszę tylko obmyśleć, w jaki sposób ją zgładzić!

ROZDZIAŁ 19.

Obojętność Nory dziwiła niezmiernie sędziego Latoura. Domyślał się, że ona nie tylko, że nie kocha narzeczonego, ale że nadto są tam inne jeszcze powody, dla których ani świetna wyprawa, ani kosztowne podarunki, ani zapisany jej majątek nie zdołają jej ucieszyć i rozchmurzyć. Nawet Gaston sam dziwił się temu, spodziewał się olśnić ją bogactwem, tymczasem przekonał się, że miliony jego najmniejszego na niej nie wywarły wrażenia.

— Jesteś zadowoloną, droga Noro rzekł zbliżając się do niej.

Na twarz dziewczęcia lekki wystąpił rumieniec.

— Dziękuję panu, — szepnęła i odwróciła się.

Gaston rozgniewany jej obojętnością cofnął się natychmiast i ujął ramię nadchodzącego właśnie Anatola.

— Jakże ci się podoba mój kontrakt? — spytał.

— Bardzo!

— Uważasz, że postąpiłem dobrze?

— Być może!

— Norą wcale się tego nie spodziewała!

— Czy ty sądzisz, że ona cię kocha? — zapytał nagle Anatol.

— Nora jest łagodną i nieśmiałą i będzie mi posłuszną i wierną żoną, o resztę nie troszczę się wcale, — odrzekł Gaston swobodnie.

— Zapewne, ale.....

— Co ale?

— Rozważyłeś sobie wszystko dokładnie? Wiesz, że jestem twoim przyjacielem, i dla tego lękam się....

— Czego?

— Wiesz ty napewno, że panna Garrel nie kocha innego?

Gaston spuścił oczy.

— Może tak jak wszystkie pensyonarki, — odrzekł, — zakochała się w jakim profesorze, ale mnie o to wcale nie chodzi!

— W klastorze profesorów nie ma! Ty wiesz, kogo ona kocha! Powiedz mi, kto to jest?

— Wiem, to nic niebezpiecznego! Jakiś doktór Lucyan Darby, nic więcej.

— Bogaty?

— Ej, nie doktor bez praktyki! Widzisz sam, że to nic! Nie potrzebujesz się lękać o mnie.

— Daj Boże, — odrzekł Anatol, i uścisnąwszy rękę przyjaciela, odszedł. Widział, że nie pozostaje mu nic innego, jak zostawić wszystko na łaskę losu.

— — — — — — — — — —

Dzień ślubu Nory nadszedł — zbyt prędko dla niej, która myślała o nim, jak skazany o śmierci, zbyt wolno dla Alfonsa i Loli, którzy niecierpliwie czekali na to, aby się rozegrał pierwszy akt dramatu, mającego im zapewnić miliony.

Robert był pełen zapału i nadziei, obmyślił on wszystko tak dobrze, że plan jego musiał się udać, Alfons, słabego charakteru i nie zepsuty tak, jak brat, wahał się ciągle jeszcze pomiędzy chciwością i powątpiewaniem, i trzeba było usilnej namowy Roberta i Loli, aby go utrzymać przy raz powziętym zamiarze. Lola sama drżała czasem na myśl o zbrodni, lecz nie cofała się przed nią. Była ona nieco lepszą, niż Alfons i Robert, nią nie powodowała chciwość, tylko chęć zemsty i zazdrość. Czemu Nora miała mieć wszystko, a ona tak mało? A przecież była równie piękną i córką tego samego ojca.

Gdy sumienie odzywało się w niej czasem, uspakajała je myślą, że chce odebrać tylko to, co jej się słusznie należy, że zbrodnia popełniona nie spada na nią tylko na cał społeczeństwo, które ubogim nie daje innych sposobów do uzyskania sprawiedliwości.

Robert dał podrobiony klucz bratu i kazał mu pewnego dnia przyjść do pałacu, aby mu pokazać owe drzwi w murze. Pan Aleksander ułatwił mu sam wszystko, kazał bowiem nasmarować zamek oliwą, aby odsunąć łatwiej rygle. Ogrodowy Niels prosił o to, chcąc sobie drogę skrócić, Gaston bowiem powierzył jemu całe przystrojenie kwiatami ogrodu i pałacu.

— Powiedz mi teraz wyraźnie, co ja właściwie mam zrobić, — zapytał Alfons, tracąc już znowu odwagę.

— Główną rzecz — wiesz, — odrzekł Robert, — a reszta zależy od okoliczności, których dziś przewidzieć jeszcze nie mogę. Na ulicy spotykać się teraz już nie możemy, bo gotów kto zwrócić na nas uwagę. — Czy ty się tylko w ostatniej chwili nie cofniesz?

— O nie!

— Dobrze, wierzę ci, bo najmniejsze wahanie się zgubiłoby nas na zawsze! Nie zapominaj o tem i bądź na wszystko przygotowany. Gdyby się co zmieniło, to ci w piątek napiszę.

W pałacu Noirville kończono przygotowania na przyjęcie Nory. Niels pracował pilnie z kilkunastu pomocnikami i w piątek rano było już wszystko skończone.

Tego dnia miała też przybyć do pałacu hrabina Beaumont z Helenką.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZWIĄZEK ZIEMIAN
E. G. m. b. H.
TELEFON NR. 1615.
w Poznaniu ul. Wiktoryi 2.
przyjmuje depozyta i płaci zależnie od czasu wypowiedzenia 3½, 4 i 4½ %, obliczając procent cd dnia złożenia pieniędzy, 94
podejmuje się regulacyi hipotecznej,
pośredniczy w sprzedaży i wydzierżawianiu majątków,
podejmuje się administracyi majątków ziemskich
prowadzi rachunki bieżące z członkami tak zwane „Conto Corrente“.

Apteka pod Orłem we Wrześni.
Rynek 25. Telefon 31.
poleca **ulepek kokluszowy** doświadczony jak nadzwyczaj skuteczny na ciężki kaszel (koklusz) but. 1,75 m. **Krople św. Jakóba i krople Matki Boski częstochowskiej,** znakomicie działające przeciw wszelkim cierpieniom żołądkowym, but. 1,00 i 2 m. **Miód żywokostowy i koperkowy** na kaszel but. 0,50 i 1,00 mk. **Pigułki św. Józefa** przeciw zatwardzeniu but. 0,80 mk. **Pastylki purginowe** znakomicie działające na rozwolnienie u kobiet, pudełko 0,75 mk. **Maść na piegi i liszaje** po 0,50 i 1 mk. **Maść na obzięblizne** po 0,50 mk. Znakomite **wody i farby** na włosy (wypróbowane) po 1,50. i 2,00 mk. **Krople uniwersalne** uśmierzające natychmiast i wszelkie bóle, kurcze żołądkowe a 0,50 i 1 mk. **Wina medycynalne** i wszelkie inne medykamenta i preparaty po przystępnych cenach. Zawówienia wysyła się odwrotnie przez zaliczkę pocztową. 527

Stanisław Augustyniak
Kościan,
ul, małej kolejki kościańsko-gostyńskiej 5.
Telefon Nr. 119. 56
Handel drzewa budulcowego,
belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d.
Deski w różnych grubościach ½, ¾, 4/4, 5/4, 6/4, 2, 2½, 3 calowe.
Skład dzwon bukowych,
dzwona gięte do powozów, jesionowe, śpic dębowych oraz bukowych blochów.
PAPY NA DACHY
w doborowym gatunku, po cenach bardzo
Hurtownie. nizkich. **Detalicznie.**

W mieście liczącem 8 tysięcy mieszkańców jest z niemieckich rąk ładny 108
domek z donośnym ogrodem owocowym i warzywnym
oprócz tego *2 morgi roli* pod bardzo korzystnymi warunkami za cenę do 12 tysięcy mk. zaraz do sprzedania. Zgłoszenia pod adresem *Zofia Bartkowska, Nakło,* ul. Berlińska.

Posiadłość moją
w samem centrum miasta składająca się z **mieszkalnego domu, dużej stajni, spichrzy oraz wielkiego podwórza,** nadająca się do **handlu zboża, węgli, drzewa i wapna** jest do sprzedania lub do wydzierżawienia. 91
Bronisław Hoffmann,
GNIEZNO, Machatiusa ul. 4.

Józef Stabrowski
GNIEZNO, Tumska Nr. 16.
WIELKI SKŁAD
Materyi, Garderoby męskiej i Kapeluszy.
Dobre i najtańsze źródło zakupu.
Pracownia eleganckiej garderoby podług miary.
Przewielebnemu Duchowieństwu polecam doskonały i znany dobry krój rewerend i płaszczy.
Łaskawe zamówienia wykonuje się jak najtroskliwiej, elegancko i według najnowszych żurnali. 119

Szan. Publiczności Witkowa i okolicy polecam mą własną
parową fabrykę budowli i mebli.
Wielki wybór mebli jak:
kanapy, szafy, lustra i t. d. oraz meble w stylu zakopiańskim.
Przyjmuję wszelkie prace budowlane i polecam się łaskawym względom dając *rzetelny i dobry towar za cenę przystępną i tanią.* 123
Z wysokim szacunkiem
Kazimierz Deskowski,
Witkowo ul. Toruńska.
Magazyn i parowa fabryka mebli oraz prac budowlanych

W seminar. Freblows. dla bon i ochroniarek jako i w szkółce dla mieszych dzieci
rozpoczyna się kurs nauk **19 kwietnia.** Zapewnia się dzieciom opiekę, naukę i stosowną do wieku rozrywkę. Po wychowawczynie i bony zgłosić się można bezpłatnie do zarządu; cena tych osób od **180** do **500 mk.** rocz. **Zgłoszenia** do semin. ustne lub piśmienne od 11—1 codziennie przyjmuje 87
Walerya Fuhrke, przełożona zakładu.
Długa ulica 4.

Kasa oszczędności
Banku Rolniczo-Przemysłowego
Kwilecki Potocki i Sp.
przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3 do 4½ proc.** wedle umowy. 19

„Talizman zdrowia i piękności“ 80 fen. Ilustr. kucharz jarski (na post!) 1,10 m. Katech. zdrowotny dla małżeństwa 1 mk. Zwalczanie nerwowości 1,35 mk. Samopomoc w cierp. płciowych 1,85 mk. Życie płciowe i jego znaczenie 2,20 mk, Zielnik lekarski (125 kol. obr.) 5 mk. Do nabycia w lepszych księgarniach lub wprost w eksp. „Przew. Zdrowia“: *Czarnowski, Berlin N,* Weissenburgerstrasse 27. 113

Pracownia robót kościelnych
WANDY GDECZYK
w Gnieźnie 122
ulica Tumska nr. 10
poleca się łaskawym względom Przewielebnego Duchowieństwa oraz Szanownej Publiczności. Wykonuje wszelkie prace jako to: kapy, ornaty, stuły, bursy, birety, wszelką bieliznę kościelną, chorągwie kościelne i dla towarzystw. Wszystko po bardzo przystępnej cenie, wykonanie artystyczne.

Restauracya
istniejąca od lat 9 licznie uczęszczana i dochodna z wyszynkiem piwa, w pierwszorzędnej okolicy Charlottenburga z dogodną komunikacyą z Berlinem, jest z powodu stosunków familijnych do sprzedania. Zgłoszenia przyjmuje 97
J. Mulkowska
Charlottenburg Schillerstrasse 117.

Kto chce czytać ładne powieści, niech się spieszy i żąda **darmo** cennika na książki powieściowe i do nabož. 84
„Globus“ I. Mrówczyński
księgarnia wysyłkowa
Rawicz (Rawitsch Posen).

Poszukuje natychmiast żonatego lub samotnego, dzielnego w swym fachu
tokarza. 124
Kaz. Deskowski, Witkowo.
Parowa fabryka mebli.

2 uczni
chcących się wyuczyć dokładnie blacharstwa, przyjmie zaraz 117
Julian Reiniger,
mistrz blacharski, Buk.

UCZNIA
poszukuje do mej drogeryi medycynalnej. Uczniowie, którzy się już uczyli mają pierwszeństwo. Zgłoszenia upr. się w niemieck. języku.
F. Buske, Drogerya
Kreuzburg O/S. 104

Czeladnika krawieckiego
na duże sztuki i stałą pracę, poszukuje zaraz
J. Karpiński
Śmigiel. 95

Potrzebuję do mego handlu bławatów, płócien, bielizny, sukna i konfekcyi mezkiej 92
ucznia,
inteligentnego i sprytnego młodzieńca.
K. Gąsowski,
Kościan (Kosten i P.)

UCZNIA
syna porządnych rodziców z odpowiedniem wykształceniem poszukuje od 1 kwietnia lub prędzej. 70
Centralna Drogerya.
I. Grochowski
Jarocin.

Makulaturę
ma tanio do oddania
Drukarnia „Pracy.“

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



W. Salis. **Wychodźcy.**

Wychodźcy.

— Matuleńko, mówcież — że mi,
Dokąd idziem po tej ziemi?
Noc posępna, grzmi ulewa,
Wicher z hukiem łamie drzewa,
A na czarnem niebie, w dali,
Kilka krwawych łun się pali...
Ach, jak tęskno tu, mateczko,
Za chateczką, za wioseczką,
Gdzie szumiały złote kłosy,
Gdzie dzwoniły ptasząt głosy,
Gdzie żniwiarzy tłum wesoły
Zbierał plony do stodoły,
Gdzie twarz każda tak radosna
Niby kwiatek, niby wiosna...
I my świat ów pożegnali,
By tak błąkać się tu, w dali?...
— Nie płacz, nie płacz, ma dzieweczko,
Za wioseczką, za chateczką!
Nie płacz, mała... Nasze pole
Zarastają dziś kąkole...
Prawie każdy człowiek z wioski
Siał nadzieję, zbierał troski!
Ojciec przodem ruszył, dziecię,
By zarobek znaleść w świecie,
Z płaczem nędzną chatę rzucił,
Poszedł, poszedł i nie wrócił...
Nie tak dziko wiatr wygrywa,
Nie tak groźna noc burzliwa,
Nie tak straszno, nie tak ciemno...
Głodna jesteś? O, pójdź ze mną!
Tam, gdzie huczy młot ze stali,
Tam, gdzie jasność bije z dali,
Tam, gdzie łuny krwawią nieba,
Idziem, dziecko, szukać chleba! —

— Matko, matko! Tam daleko
Łza nie zaschnie pod powieką...
Słychać jakiś huk ponury,
Jakieś wrzaski wśród wichury...
Dołem ciemność, a z wysoka
Łuna, niby krwi posoka,
Jakiś łoskot, poświst wrogi...
Och, zawróćmy, matko, z drogi!...

— Nie czas, nie czas, moja mała,
Gdy nas dola tu zagnała!
Grzmią maszyny dookoła,
Klątwą świecą ludzkie czoła,
Czarne dymy błękit mroczą
I strudzeni bez sił kroczą...
Źle nam, ciężko na tym świecie,
Lecz żyć trzeba, moje dziecię!

— Matuleńko, mówcie tedy,
Czemu to nam tyle biedy?
Czemu klątwą świecą czoła?
Czemu wszystkim źle dokoła?
Czemu we łzach ludzie biedni
Zdobywają chleb powszedni?
Czemu innym na tej ziemi
Nigdy tak się świat nie ściemi?
Czemu Pan Bóg dla swych dzieci
Jednej doli nie roznieci?
Czemu dziatwie najwierniejszej
Daje żywot najciemniejszy,
A gdy na jej łzy spoziera,
Tylko liczy, nie ociera?...
Matko! Czemu nie żal Jemu
Tak żyć kazać... Czemu? Czemu?...

Tak szeptało drobne dziecko,
Dążąc błonią mazowiecką
Gdzie fabrycznych świat rubieży
Tytanicznych łun pożogą
Pośród nocy świecił wrogo.
Matka milcząc przodem kroczy,
Tylko chustką kryje oczy...
Lecz szumiały głucho drzewa,
Szumiał wicher i ulewa,
Noc szumiała mazowiecka
Zapytaniem tego dziecka...

Andrzej Niemojewski.

Z ojczystych stron.

Miasto Lidzbark
W PRUSACH ZACHODNICH.

Opisał **Konstanty Kościński.**

— Któż jest, kogoby niewzruszyła pamięć rzeczy dawnych.

Cycero.

I.

Przejście ziemi michałowskiej w ręce krzyżackie.

Ziemia michałowska[1]), w której leży miasto Lidzbark występuje już w dwunastym wieku w historyi polskiej. Czytamy bowiem w kronice Wielkopolskiej, że przy podziale Polski między synami Bolesława Krzywoustego (1139 r.) otrzymał Bolesław Kędzierzawy Mazowsze, Dobrzyń, Kujawy i chełmińską jako też i michałowską kasztelanię. Jeden z następców Bolesława Kędzierzawego, Leszek, książę na Inowrocławiu i Wyszogrodzie — kronikarz Długosz zowie go księciem michałowskim — Dux Michaloviensis — zastawił tę ziemię krzyżakom. Popierając bowiem króla węgierskiego przeciwko czeskiemu, dostał się książę Leszek do niewoli czeskiej. Aby się z niej wykupić, pożyczył od krzyżaków na przeciąg lat trzech 180 grzywien monety toruńskiej i za dług ten dał w zastaw 1303 roku ziemię michałowską, jednakże pod tym warunkiem, że gdyby w owym czasie on albo bracia jego Przemysław i Kaźmierz długu nie spłacili, ziemia michałowska na zawsze zostać miała w ręku krzyżaków. W rok potem Leszek ponowił tę ugodę, otrzymawszy od krzyżaków jeszcze 120 grzywien dodatku. Termin wykupu naznaczono na rok 1304, dwa tygodnie po Wielkiejnocy. Jednakże wykupu w czasie oznaczonym nie uskuteczniono, a kiedy później Leszek i bracia jego krzyżakom ofiarowali pieniądze, krzyżacy nie chcieli ich przyjąć. Roku 1317 dopłacili krzyżacy Leszkowi jeszcze 200 grzywien, wskutek czego Leszek tego samego roku wystawił w Nieszawie dokument, że im tę ziemię sprzedaje. Takim więc sposobem dostała się ziemia michałowska w posiadanie krzyżackie. Polacy wszelako twierdzili, że stało się to nieprawnie i dlatego też o tę ziemię już za czasów Łokietka z krzyżactwem długoletnie staczali wojny. Ostatecznie przedłożono rzecz całą stolicy apostolskiej, aby ta spór rozstrzygnęła.

*) Nazwa pochodzi od zamku, który niegdyś znajdował się w Michałowie nad Drwęcą w pobliżu Brodnicy i siedzibą był kasztelana.

Ojciec św. Benedykt XII. wyznaczył wskutek tego komisyą do zbadania sprawy. Wysłuchano wielu świadków, a między innymi Kaźmierza, brata Leszka. Tenże zeznał, że ziemia michałowska należała się wszystkim trzem braciom wspólnie, i że Leszek oddał ją wbrew woli braci krzyżakom. Komisya papieska przyznała przeto słuszność Polakom, ale Polacy wyroku Ojca św. nie poparli orężem i nie odebrali przysądzonej im własności. Taki stan trwał aż do roku 1343-go. Wtedy król polski Kaźmierz Wielki zawarł z krzyżakami pokój w Kaliszu, na mocy którego ustąpił krzyżakom i ziemię michałowską.

Odtąd pozostawali krzyżacy dzierzycielami ziemi michałowskiej aż do sławnego pokoju toruńskiego, t. j. r. 1466-go, na mocy którego ziemia michałowska wraz z Prusami Królewskiemi do Polski wróciła.



Pieczęć klasztoru lidzbarskiego.

II.

Początek miasta Lidzbarka.

W przytoczonym okresie powstało miasto Lidzbark. W najdawniejszem źródle spotykamy nazwę w pisowni niemieckiej jako Luthbork. W spisie grodów i miast pruskich[1]) z wieku czternastego czytamy bowiem, że ziemia michałowska ma jedno miasto Luthbork i wsi 14 (Terra Michaloviensis habet unam civitatem Luthbork et 14 villas).

Czas założenia miasta Lidzbarka nie jest dokładnie wiadomy. W aktach kościelnych lidzbarskich zapisano, że miasto wraz z kościołem założone zostało około roku 1301. Zgadza się to z mniemaniem historyka Gwagnina, który w „Sarmacyi europejskiej“ podaje rok 1301 jako czas założenia; to samo Roscius w dziele swojem p. t. „Westpreussen.“ Natomiast utrzymuje Vossberg w historyi monet i pieczęci, że założenie przypada na rok 1307. Niektórzy historycy domyślają się, iż miasto Lidzbark założył Otto von Lauterberg, który 1334 był wójtem nowomiejskim. Nie podzielamy zdania tego, ponieważ najstarsze nazwy miasta, jakie w dokumentach się zachowały, inne mają brzmienie.

[1]) Kętrzyński: O ludności.

Najpierw spotykamy Lutzbork, później około 1420 roku Lutinberg, 1429 roku Lutembergk, 1466 r. Litteberg i Ludberg, coby wskazywało na to, że miasto wzięło swoją nazwę od położenia górzystego (laute Berge, — same góry)[2]). Zgodnie z tem używał kościół parafialny w wieku 18-tym i na początku 19-go jeszcze[3]) pieczęci, na której wyryte były słowa: „Sigillum ecclesiae archipres. Lautembergensis.“ Mimo to zdaje nam się, że nazwa miasta nie pochodzi od góry (Berg), lecz od zamku (Burg), podobnie jak sąsiedniej Brodnicy, której nadano nazwę Strasburg. Luth—, Lut—, Lutin—, Luttem—, Litte—, wyprowadzić można od przechodzącej tu rzeki Wli[3]) (Wluthbork — Luthbork i t. d.).

Zdanie to opieramy na tem, że pieczęć gwardyana klasztoru minorytów w Lidzbarku pochodząca z 15-go wieku, zawiera napis: „Sigillum Gardiani Lautenburgensi. Ordinis min.“ Nazwa miasta opiewa tu więc wyraźnie: Lautenburg, a nie Lautenberg.

Nie ulega wątpliwości, że na tem miejscu już przed krzyżakami była osada. Dowodzą tego prastare nazwy pól i ogrodów. Na przedmieściu pod św. Janem zwano jeszcze roku 1816-go przestrzeń, na której wznosi się obecnie karczma Jadamskiego, „Gródkami.“ Ten gród znajdował się prawdopodobnie tuż na przyległem wzgórzu (Stefana Wasielewskiego). Na posiadłości sąsiedniej natomiast (ul. Mostowa nr. 12) odbywało się niegdyś, a nawet jeszcze w wieku 18-tym targowisko.[5]) Zaraz w pobliżu na „Pólku“[6]), był taki sam okop, który dziś jeszcze dość wyraźne ma kształty. Takie same okopy znajdowały się i po drugiej stronie miasta na łące za „hamernią,“ nad rzeką Wlą. Jeden okop rozwalono około roku 1850, drugi utrzymał się do naszych czasów.

Po drugiej stronie Wli leżą ogrody nazwane „Poświętnem.“ Również znadują się okopy pogańskie w pobliskim „Nowym dworze,“ który już 1410

[2]) W pobliżu leży też miasteczko: Górzno.

[3]) 1818 r.

[4]) Od Wli wzięła nazwę sąsiednia wieś Wlewsk, położona nad „Wlewskiem jeziorem“, stara siedziba Wlewskich, później Chełstowskich, Sierakowskich, Suchorskich, Brzozowskich, obecnie Różyckich.

[5]) Akta hipoteczne Lidzbarka Nr. 157.

[6]) Posesya Władysława Różyckiego w Wlewsku, dawniej Brzozowskich.

roku występuje w źródłach dziejowych. Dalsze nazwy pól i ogrodów wskazujące na ustrój w czasach dawnych są: Borek, Bycza łąka, Chmielniki, Dębniki, Działek, Freta, Garbuzy, Godlewizna, Koszary, Księża Obora, Ławy, Okule, Olszewo, Piaski, Płaczki vel Placki, Przydatki, Rozgart, Rotzenzahl, Stanowisko, Skomniały, Strzelnica, Tyły, Rybaki, Wilcze bagno, Wyrwa. Folwarkiem zwała się posiadłość w górnej części nowego rynku. Drugi folwark na gruntach miejskich zowią także „separunkiem.“ Rzeka Wla (po niemiecku Welle) wspomniana już jest około roku 1400 po łacinie jako „Vela.“ [6]) W pobliskiem Piasecznie nazywa się jezioro „Wleciem.“ Około r. 1410 spotykamy w tej okolicy wsie: Bladowo (Bladau), Bełki (Bulkendorf), Chełsty (Selste), Ciborze (Stibor), Dwór czyli Nowy dwór (Hof) Klonowo (Klonau), Linówiec (Leinau) Młyniki (Melensdorf), Rynek (Renk), Wąpiersk (Wamperschke), Bryńsk (Borausse), którym krzyżacy nadali nazwy niemieckie tu w nawiasach przytoczone. Nazwy te dowodzą niezbicie, że pierwiastek w tej okolicy był polski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zdania i myśli.

Najchętniej ze wszystkiego ofiaruje każdy swoje rady.

Zasługa zdobywa nam szacunek ludzi uczciwych, a szczęście szacunek tłumów.

---

[6]) G. Henkel, Culmerland, Zeitschr. des Westpr. Gesch. Ver. Zeszyt XVI str. 15. „per lacus per quos ipsa Vela descendit.“



Uroczystość poświęcenia w Lublinie odnowionego pomnika ku czci ułanów ks. Józefa Poniatowskiego, poległych w potyczce pod Lublinem z Austryakami w r. 1809.

W ostatnim czasie odbyła się w Lublinie, w Kongresówce, uroczystość poświęcenia odnowionego świeżo pomnika, wzniesionego ku czci ułanów polskich z komendą ks. Józefa Poniatowskiego, poległych w potyczce z Austryakami w r. 1809. W dniu uroczystości po nabożeństwie w kościele katedralnym odbył się pochód tłumu kilkutysiącznego, nad którym powiewał sztandar narodowy, ulicami Królewska, Nową i Lubartowską ku pomnikowi. Jądro pochodu tworzyli Sokoli, maszerujący szóstkami w równych szeregach. W powietrzu brzmiał energiczny, męzki rytm marsza Sokołów. Po paru gorących przemówieniach u stóp pomnika, nastąpił akt poświęcenia. Na stopniach złożono wieniec. I znowu wielotysiączna rzesza, jednem przeniknięta uczuciem, z pieśnią narodową na ustach, podążyła drogą powrotną ku miastu.

3) # Wczasy królewskie.

Fragment z wyprawy Stefana Batorego.

Przez Józefa Ryszkiewicza; z illustracyami.

(Ciąg dalszy).

Oficer z pacholkiem, dosiadłszy koni, zniknęli pośpiesznie w gąszczu a król kazał niebawem przywołać Litwina, który, posiliwszy si , począł przyprowadzać do porządku rynsztunek i czyścić konia.

— Dobry z waści żołnierz, kiedy o konia dbasz a i moderunek lubisz trzymać w porządku, napij się oto kubek wina i mów, jak wielki czambuł i czy da się go łatwo obejść.

— At, czambul, wiadomo, jak do czambułu; bywa koni sto i więcej, a ten, patrzaj, może mieć ze dwieście; wiadomo, nie liczylim.

— Jakże tak stoją, bez placówek?

— Od pola widzieliśmy, że pilnują, ale co od boru to wcale.

— Co to waszmość bez pocztowego służysz? czyś go zasie przy wojsku zostawił?

— Służę ja samotrzeć a i pacholików dwóch przy podwodzie, ale na małe podjazdy to, wiadomo, że lepiej jak jedzie same towarzystwo; sprawniej wszystko można dokonać; o koniu i rynsztunku samemu trzeba po prawdzie myśleć, ależ to dla żołnierza nie krzywda, a pańskie oko konia tuczy, miłościwy panie.

— Widzę, że koń waści zdrożony, trza ci go będzie zmienić, będzie tu zaraz u nas kilka szkap luźnych, to się przesiądź, gdyż musisz nas na Tatarów prowadzić.

— Podje sobie, to i wypocznie, u ruczaju napoję, wymyję, a widzi mi się że do drogi, a jeszcze przez bory, takiego w koronnem wojsku nie najdzie. Nie wielkie to, ale sprawne, z Witołdowych niegdyś jeszcze, skąd jego ród się wywodzi, a wszystko u nas w okolicy zrodzone.

A teraz pozwól, miłościwy panie, że pójdę dokończyć obrządku przy koniu i rzemieniach.

W niespełna trzy godziny nadbiegła lekko i cicho pół-chorągiew węgierskiej piechoty, za nią przyciągnęła chorągiew konna lekkiego znaku. Kilku dworzan z pachołkami, luźne konie na zmianę i cyrulik wojskowy, jako że na takiem polowaniu chleb z pajęczyny niezawsze wystarczał do zalepiania rany.

Złożono małą radę wojenną, przywoławszy naturalnie i towarzysza Litwina, by wypytać o miejscowość i jak iść najlepiej.

— Ot jak poradzę, a zobaczycie, że dobrze; choć i nie całkiem piśmienny, jako że u nas książki to i nie bardzo jest kiedy popatrzeć, a poprawdzie to i za ciężka dla rolnika i żołnierza robota, osobliwie przy pisaniu całkiem ręką krzepnie.

— A co? nie mówiłem, zawołał wojewoda Bracławski, że u nich tak. Ale nie przeszkadzam, radź towarzyszu.

Oto z pół mili od gołoborza, na którem zapadli Tatarowie, jest smolarnia, a od niej droga pod sam ich obóz; od smolarni dróżka prowadzi prawie że do samego tego oto bagna, a potem,

widać dalej przez bory, aż do Uświaty. Tą dróżką więc poprowadzę przed smolarnię.

Chorągiew konna obejdzie bokami czambuł i zapadnie w zaroślach, które gęsto polanę nad rzeką otaczają. Tylko nie okrążać od razu, bo się natkniecie na ich placówki i rozjazdy. Boki drogi od czambułu do smolarni zajmie piechota z samopałami, ale stać cicho i zdala od drogi. Ty, najjaśniejszy panie, zajmiesz sobie z dworzany smolarnię, osadzisz ją oddziałem piechoty i będziesz czekać, a ja małym podjazdem pójdę prosto drogą pod czambuł, niby nic nie wiedząc. Zbliżywszy się do Tatarów, jak mnie tylko spostrzegą, zawrócę i pocznę uciekać. Oni, że są chciwi dostać języka, puszczą się w znacznej liczbie za mną, bo droga do smolarni szeroka i tak ci tego zwierza podprowadzę do smolarni pod ogień z twej rusznicy, miłościwy panie, i ukrytych w budynkach Węgrzynów. Tatarzy zawrócą, bo w lesie oni nie majstrzy i poczną zmykać, a wtedy niech piechota z dwóch stron drogi daje ognia, a jazda otacza od pola, ale dopiero jak posłyszy strzały.

— Dobrze, radzi będziemy mieli łowy prawdziwie królewskie. Jedziemy! proszę na koń. Towarzyszu prowadź! Na kilka tysięcy kroków przed smolarnią rozdzielimy się. Do smolarni zajadę sam z marszałkiem przodem, niby na łowach zbłąkani bojarowie, aby nas smolarz, jeżeli wie o Tatarach, nie zdradził. Dwudziestu piechoty, co będzie ze mną, zajmie miejsce w budynkach, dopiero gdy przejdzie podjazd, a jeszcze przed tem rozstawi się reszta piechoty po przy drodze. A nie stawać na wprost siebie — zwrócił się król do oficera — prowadzącego piechotę, bo się przez drogę postrzelacie, ale w odstępach na przemiany po zachodzie słońca powinniście być na stanowiskich. Panie wojewodo, prowadźcie jazdę! A teraz naprzód! jazda za mną, bo ją wcześniej puścimy przodem, a cicho i sprawnie.

Puścił się drobnym kłusem cały oddział wzdłuż brzegów bagna, mając jadącego przed królem towarzysza z litewskiego wojska na przedzie. Piechota węgierska, sławna ze swej działalności i wytrwałości w marszu, prawie że nie ustępowała kroku za jazdą.

— Na jaką dobrą godzinę przed zachodem Litwin dał znak, aby się zatrzymano. W tem miejscu las był rzadki, wysokopienny, tak, że chorągiew jazdy mogła się sformować w kolumnę; niebawem nadciągnęła i piechota.

Niech miłościwy pan tu się zatrzyma z wojskiem, a podjadę pod smolarnię obejrzeć, czy bezpiecznie, — rzekł towarzysz i ruszył w las. Przez ten czas rozdano żołnierzom skromny posiłek, aby każdy miał go przy sobie w sakwie, gdyż juczne konie zostawały w smolarni. Hetman polny objął dozór nad piechotą. Niedługo czekano, rozległ się tentent konia i Litwin, osadziwszy go przed królem, rzekł:

— Wszystko jak należy! Teraz, jeśli wola niech jazda rozdzieli się i rusza bokami, a zdala od drogi! Tatarzy nocują przy ogniach. Więc się na nich nie natkniecie niespodzianie, a czekać strzałów. Wyznacz jeszcze dla mnie podjazdzik, miłościwy panie, a bystry, bo muszę takich synów podprowadzić ci pod smolarnię na karku, a niedać się ubiedz. Piętnaście koni będzie dosyć. Teraz ja tu zostanę, a przed świtaniem podsunę się pod Nogajców, by ci ich skoro świt dać na strzał, miłościwy królu i panie. Piechota niech też jeszcze zostaje i zajmie pozycyę dopiero śród nocy. A teraz ty, miłościwy panie, jedź. Dworzanie nadjadą później, a dwudziestu z piechoty przeznaczonych do smolarni obejdzie lasem i legnie z prawej strony w zaroślach.

— Takeś to wszystko dobrze towarzyszu zarządził, że sprawiedliwie zacne to wojsko, co ma takich żołnierzy, i chluba dla ciebie panie hetmanie polny litewski, że takimi zuchami dowodzisz. A więc, mości marszałku, ruszamy ku smolarni samowtór!

* * *

Na majdanie, otoczonym borem, stała wiejska kurna szopa. Zdawała się gorzeć; ze strzechy bowiem słomianej wydobywał się dym, ścieląc następnie po pod lasem w długie niebieskawe smugi. Słońce przed zachodem barwiło żółto-czerwonawem światłem budynki i drzewa. Długie cienie od drzew przecinały pokryty popieliskiem, kłodami drzew, stosami wiorów, karpiny i gałęzi, obszerny dziedziniec. Na boku w kopcach paliły się węgle, w największym wytapiała smoła, czy dziegieć, spływając rynną drewnianą do wnętrza szopy. Tu było i zarazem mieszkanie smolarza.

Na widok zbliżających się jeźdców, wyszedł z domostwa brodaty chłop w czarnej, dziegciem przesiąkniętej koszuli, surowcem podpasanej. Marszałek, który dobrze mówił ich językiem, pozdrowił go i spytał o drogę do Łuk, mówiąc, iż zbłąkał się na łowach z tym oto bojarem, muszą więc chyba tu w smolarni nocować; smolarz jak się okazało z dawna tu osiadły Żmudzin, mocno był zakłopotany, jak w swej kurnej chacie będzie mógł tak znacznych przyjąć gości. Dziwił się jednak, że bojarowie tak sobie po boru polują, kiedy podobno król polski z wielkiem wojskiem ciągnie w te strony. Mówił mu to chłop który wracał z Uświaty.

— A czy o Tatarach nie słyszałeś? — pytał marszałek.

— Widział ich mój pastuch, jak po susz do lasu przyjechali, ale umknął z bydłem, bo pewno by mu nie darowali.

— I dawno jak tu mieszkasz?

— O już bardzo dawno. Jeszcze żyła w Polsce królowa Barbara. Nabroił człowiek i musiał się wyrzec własnej chudoby i aż tu się schronić. Idą tam pewno z wojskiem i swojacy, chciałoby się zobaczyć, a strach, nuż kto pozna?

Ale kiedy już taka wola, to proszę do chaty. Wańka! a weź-no konie i postaw w sieniach, będzie bezpieczniej, Tatarzy gdzieś niedaleko stanęli, przyszli widać Łukom na pomoc, czasem mogą nocą zajrzeć do stajni. Swoje konie trzymam w puszczy na uroczysku, syn z koniuchami pilnuje.

— Petruk! — zawołał po polsku, wprowadzając gości przez wielką sień, po środku której paliło się ognisko i dymił parą wielki kocioł zawieszony u belki. — Otwórz świetlicę, Bóg dał gości. Z poza dymu ogniska wysunęła się smagła czarno brewa dziewczyna, lat osiemnaście, w półkożuszku i białej chuście na głowie. Obiegłszy na około przez komorę, odsunęła zasuwy zapraszając króla i marszałka do środka.

Na czarnych od dymu jak heban ścianach, wisiało trochę broni. W jednym kącie izby stał otoczony ławami stół, a w rogu na ścianie wisiały obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej i Ostrobramskiej.

Poczęło zmierzchać. Małe okienko o jednej szybie z pęcherza, prawie nic nie przepuszczało światła; to też piękna dzieweczka, chwyciła jedną ze smolnych długich płonek, jakich kilkadziesiąt leżało w kącie na ławie, a zapaliwszy ją w sieni u ogniska, wniosła do izby, zatykając w szpary pomiędzy balami. Żółtawe światło oblało wnętrze izby. Za chwilę wszedł gospodarz, ale przebrany do gości. Czysta biała koszula, dosyć wytarty, ale jeszcze nie złej barwy żupan; buty jałowicze i szabla u boku dopełniały stroju. Pokłonił się we drzwiach i rzekł po polsku.

— Witam z chlebem i solą pod ubogą strzechą. Choć nie wiem kto jesteście, ale słysząc słowa łacińskie, — marszałek z królem mówili po łacinie, myślę że prędzej z królewskiego woj-

ska jak z Wielkich Łuk, a jam szlachcic *natus et posesionatus* herbowy, choć obecnie tylko mam smolarnię. A to córka moja najmłodsza, Piotruka, tu zrodzona i w puszczy jak sarna chowana, ale po polsku i litewsku nieźle mówi i na książce czyta. Co to? słyszę jeszcze jakieś głosy i dudnienie kopyt. Byle nie Tatarzy!

— Nie bójcie się, miły bracie, to nasi dworzanie, dajcie im miejsce na konie i niech tu który przyjdzie.

Wątpliwość gospodarza smolarni ustąpiła, gdy wyszedłszy przed sień ujrzał kilkunastu polskich jeźdzców. Zdumiał jednak, gdy poczęto pytać o króla i marszałka. Zdjął go nawet strach, czy nie zawiele powiedział o swej przyszłości; zawszeć wiedzą, iż przed gardłem zemknął aż tutaj. Najznaczniejszy z dworzan wszedł do świetlicy po rozkazy. Marszałek kazał mu mieć baczenie na konie, rozłożyć, kto ma być koleją na służbie przy królu, a kto w rynsztunku przy osiodłanym koniu, od wypadku. Służba wyjęła z juk zapasy żywności i wkrótce po skromnym posiłku król z marszałkiem legli na spoczynek. U drzwi na zydlu drzemał służbowy dworzanin, wokoło smolarni stały warty.

Cichym głosem puszczyka nawoływali się czuwający w krzakach Węgrzy. Chłodna, lecz pogodna noc zluzowała dzień.

Już drugie kury zapiały, kiedy, idąc wilczym krokiem, przemknął się podjazd z Litwinem na czele. Poczęto budzić się i szykować. Węgrzy przybiegli, by zająć miejsce w budynkach. Król z marszałkiem pozostali w świetlicy przy okienku, z którego wyjęto błonę; ukazał się także smolarz w kolczudze i z samopałem w ręku, a misiurka i długie buty z ostrogami oznaczały byłego towarzysza z pod lekkich znaków petyhorskich wojska litewskiego.

(Dokończenie nastąpi)

Wspomnienie o Kazimierzu Puławskim.

(Szkic historyczny).

Napisał Karol Cieszewski.

XXX.

Próżne usiłowania.

Podczas tych wszystkich dyplomatycznych rokowań, na zgubę Polski potajemnie knowanych; Kazimierz Puławski szukał zbawienia Ojczyzny nie w gabinetach dyplomatów, gdzie zawsze tylko interes państwa przemaga, ale na polu bitwy, wśród gradu kul i pałaszów szczęku. Był on bowiem żołnierzem, człowiekiem czystej wiary, i pojmował rzeczy jedynie podług uczucia i zdrowego rozumu — dla tego też tyle doznał zawodów!

Bo chociaż dobra sprawa zawsze na końcu zwycięża, krwawe staczać musi walki z intrygantami, ludźmi osobistych namiętnych ambicyi, a obojętnymi na wszystko a nakoniec, z nikczemnymi zdrajcami, którzy z wszelkich szlachetnych uczuć wyzuci, za pieniądze i najpodlejszej służyć będą sprawie.



J. Ryszkiewicz. **Do miasta.**

Być może, że podczas konfederacyi barskiej naród nie był jeszcze dostatecznie przygotowany do podźwignięcia się o własnych siłach, bo klasy wyższe były już bardzo zdemoralizowane i głównie tylko stan szlachecki brał udział w toczącej się walce; podczas gdy klasa średnia, właściwa siła narodu, nie z przekonania, ale tylko chwilowym zapałem porwana, pomagała. — Rozglądnąwszy się jednak bliżej w tej epoce zaprzeczyć nie można, że zasoby do zwycięstwa były; i gdyby nie fatalna a zawsze zwodna wiara w dyplomacyą, prywatne ambicye kilku próżniejszych możnych, brak karności i sprzedajność; walka ta nie byłaby bezowocną i nie zmarnowałoby się było tyle krwi przelanej.

Dzieje jednak nie idą za wolą ludzką, mają one wytknięte swe koleje, równie jak ciała niebieskie toczące się nakreśloną sobie drogą: pewne, niezmienne, obliczone nie na lata, lecz na wieki, a usiłowania widzących jaśniej, służą tylko do wskazania i wyjaśnienia dróg tych. Naród co zna je, jest na drodze postępu.

Naród polski nie miał snać jeszcze tej świadomości za czasów barskiej konfederacyi, bo powierzył kierunek powstania a więc losy swe przyszłe kilku ambitnym panom, którzy składali jeneralicyą i popierali walkę może dla tego tylko, bo ich to bawiło, bo drażniło im nerwy, przerywało nudy próżniaczego życia. Jakież więc mogły być dzieła rąk takich, jaka rękojmia ich dobrej wiary i wytrwałości, a więc jaka nadzieja, że dobrze pokierują losami Ojczyzny?

Siedziała jeneralicya za granicą, rokowała z dworami, oczekiwała nieustannie pomocy sąsiedzkiej i rozsyłała nominacye. Puławskiego Kazimierza, mianowała regimentarzem małopolskim, z poleceniem obwarowania Bobrku, wsi z zamkiem w byłem województwie krakowskiem.

Zakończyliśmy opowiadanie nasze wydarzeń wojennych konfederacyi barskiej z początkiem roku 1771, twierdząc, że nigdy, od samego nawet zawiązku nie była silniejszą, jak w tym czasie.

I tak było rzeczywiście. Silne komendy Zaremby, Sawy, Zakrzewskiego i Mazowieckiego i wiele innych pomniejszych uganiały się z nieprzyjacielem po województwach poznańskiem, gnieźnieńskiem, kaliskiem, sieradzkiem, kujawskiem, łęczyckiem, płockiem i podlaskiem; Kossakowski posuwał się w Litwie — tak, że prócz miasta Krakowa, całe prawie księstwo zatorskie, oświecimskie, jako też województwa lubelskie, ruskie, sandomirskie, krakowskie, z Wieliczką i Częstochową, były w posiadaniu konfederacyi.

Formowano zaciągi piechoty, ćwiczono je w obrotach, przepisano regulamina dla wojsk konfederackich, a przy korpusie głównym miało być obe-

cnych sześciu konsyliarzy, którzyby opatrzeni pełnomocnictwem, rozrządzali wpływ dochodów z kraju oswobodzonego od nieprzyjaciela i rada wojenna, mająca się zajmować tworzeniem wojska, oraz czuwać nad wykonaniem rozkazów jeneralności... które to rozporządzenia zapowiadające ład i dające rękojmię powodzenia, skłoniły wielu znakomitych obywateli w kraju do przystąpienia do konfederacyi.

Ale cóż, kiedy wszystkie te ulepszenia spełzływ pierwszym prawie planie, bo jeneralność za granicą siedząca nie mogła dopilnować ich wykonania, w kraju zaś było zbyt dużo żywiołów niesfornych, aby bez pewnego terroryzmu dały się one wykonać; i właśnie pośród tych nadziei ulepszeń, wylągł się potwór niegodziwego rozebrania krajów Rzeczypospolitej, co w ostatnich opisaliśmy rozdziałach.

I jeszcze jedna okoliczność przyczyniła się znacznie do osłabienia konfederacyi: było nią wystąpienie do walki Suwarowa, który łącząc do wszechstronnych zdolności wojskowych rzadką przezorność i baczność, przytem niezmordowanie czynny i śmiały, stał się prawdziwym pogromcą konfederacyi. Zwycięstwa jego w tej mierze utorowały drogę do dowolnego szarpania, a późniejsze do zupełnego rozbioru nieszczęśliwej Polski....

I tak zaraz przy końcu marca, pobił Suwarów Sawę pod Kraśnikiem, który poddawszy się pod rozkazy regimentarza Kazimierza Puławskiego, miał właśnie zamiar z nim się połączyć. Puławski jednak nie mógł czekać na zwlekającego Sawę, bo dla obrony zagrożonej Lanckorony zmuszony był do wstecznego obrotu — tak że tenże, atakowany oddzielnie przez Suwarowa powtórnie pod Szreńskiem dnia 26 kwietnia, przypłacił przegraną życiem.

Zgon Sawy, jednego z najwaleczniejszych, najczynniejszych i najwytrwalszych dowódców konfederacyi, przeraził dobrych patryotów i napełnił trwogą wielu obywateli Warszawy, którzy w ścisłych a tajemnych znajdowali się z nim stosunkach. Niemniejszą trwogę sprawiła śmierć jego i na Litwie, gdyż pomagać miał działającemu tamże Kossakowskiemu, które to nadzieje skończyły się wraz z jego śmiercią.

Złote myśli.

Oszustwo nieprzyjaciół sprawia nam niewypowiedziane zmartwienie, a przecież bywamy zadowoleni, kiedy oszukujemy sami siebie.

34

Złudzenia.

Opowieść
z czasów księcia Józefa Poniatowskiego

(Ciąg dalszy i dokończenie).

XVI.

Kiedy już raz lody przełamane zostały i te dwa serca, stworzone dla siebie, porozumiały się, wspólne życie w ciasnej wiosce stało się dla nich rajem, o którym mogą mieć pojęcie tylko ci, którym zorza wzajemnego szczęścia przyświecała w życiu.

I to jednak szczęście nie było bez goryczy, jak nie bywa róży bez cierni. Dla Szumlańskiego głównie zmartwień powodem była ta okoliczność, że Ewunia małżeństwo odkładała na dalszą przyszłość, on zaś pragnął jak najprędzej nazwać ją swoją żoną.

Powody jednak tej zwłoki, podawane przez dziewczę, były tak słuszne, że sprzeciwiać się było niepodobna. Twierdziła ona mianowicie, że póki wojna się nie skończy, póki narodowe nadzieje choć w części nie będą ziszczone, pojedyńczym obywatelom nie wolno marzyć o osobistem szczęściu. Że zaś wódz wojsk polskich wyruszył z Krakowa i do Niemiec się udał, dowodziło to, że pomimo zdradliwych podszeptów i uludnych nadziei, jakie mu rokowano, Napoleona nie opuści i nie splami honoru, który kraj złożył w jego ręce, a który czysty i niesplamiony ślubował mu zwrócić.

Wódz ten był dla Szumlańskiego ideałem i choć pułkownik kochał Ewunię po nad wszystko w życiu, poszedłby był z nim choćby na koniec świata, zwłaszcza, że wiedział na pewno, iż w przeciwnym razie ona z serca swego wydarłaby najgorętszą miłość dla niego.

Ponieważ zaś zdrowie i siły wróciły mu już całkowicie, mimo więc szczęścia, jakie go tu przykuwało, rozumiał potrzebę powrotu pod sztandary wojskowe. Kiedy z początkiem czerwca 1813 roku nastąpiło chwilowe zawieszenie broni, przeto stawienie się do szeregów nie było tak naglącem, Szumlański skorzystał ze zwłoki, aby, gdy nie mógł z ukochaną swą połączyć się węzłem małżeńskim, przynajmniej uroczyście zaręczynowe zamienić z nią pierścionki, i na nowe walki wyprawić się już jako jej sługa i niewolnik.

Ewa przeciwko temu nic mieć nie mogła, a lubo wiedziona niewieścią delikatnością uczucia, nie bardzo była rada z tego, że pułkownik zawiadamiał księcia Józefa o nowem swem postanowieniu, nie op..rała się jednak temu i szczerze była szczęśliwą, kiedy na list Szumlańskiego głównodowodzący odpowiedział najszczerszemi i bratniemi życzeniami i żalem, iż z powodu nawału pracy na uroczystość zaręczynową przybyć nie może. Obiecywał sobie wszakże, że po szczęśliwem zakończeniu kampanii, na weselisko przybędzie i mimo skończonego piątego krzyżyka, ochoczo jeszcze na niem pohasa.

Skoro o tem postanowieniu pułkownika został zawiadomiony książę Józef, narzeczony nie chciał robić żadnej tajemnicy, wieści więc o jego szczęściu udzielono i innym kolegom wojskowym i sprawa stała się powszechnie wiadomą.

Natenczas właśnie, korzystając z zawieszenia broni, pułkownik Falkowski, z oficerem wydelegowanym z Francyi, zwiedzał twierdzę Modlin i Zamość i o stanie ich obaj mieli złożyć dokładny opis w Paryżu.

I on też, jako szczery przyjaciel Szumlańskiego, uradował się na wieść o jego zaręczynach z Ewunią.

Hrabina Tyszkiewiczowa przebywała teraz w Paryżu częściej, aniżeli w dziedzicznym zamku Talleyranda Valencay. Skoro tedy ją Falkowski spotkał na dworze w Tuileryach, nie omieszkał jej zawiadomić o nowych związkach, w jakie wchodzi wspólny ich znajomy.

Pani Tyszkiewiczowa na wieść tę zmarszczyła gładkie swe czoło, ale nie pokazując po sobie, czy ją to martwi czy cieszy, odpowiedziała sucho i śmiejąc się z przymusem:

— *Tiens,* a zawsze mu to przepowiadałam i zawsze przypuszczałam, że to w ten sposób się zakończy.

Mimo tę odpowiedź, napozór obojętną, przez cały wieczór pozostała chmurna i milcząca, aż kulawy jej adonis, dostrzegłszy to, zbliżył się do niej i zapytał:

— Cóż to się dzieje, że królowa moja jest dzisiaj taka smutna i ponura?

— Ha, cóż chcesz, ekscelencyo — brzmiała sucha odpowiedź. — Śmieszne i smutne jest życie ludzkie, a już najdziwaczniejszem jest, kiedy się odnosi do uczuć. Ileż to razy zdaje się nam, żeśmy na prawdziwą minę afektu trafili, a tymczasem... złudzenie.

— Mojego wszakże chyba pani do tego rodzaju uczuć nie zalicza? — zapytał on, kłaniając się z galanteryą, ale zarazem z uśmiechem ironii na ustach.

Pani Tyszkiewiczowa spojrzała na niego jakoś ostro i surowo i nie odpowiadając, na drugi koniec sali odeszła.

Rzeczywiście w nowym tym stosunku swoim nie mogła uważać się za szczęśliwą, a szczególnie jej, jako kobiecie z gruntu i z tradycyi rodzinnej

uczciwej, stosunek ten dolegał swoją nieprawidłowością. Lubo książę kanclerz zawsze miał dla niej słodkie słówka na ustach, a w uprzejmości zwłaszcza prawdziwych Celadonów przewyższał, mianowicie też kiedy potrzebował jakiejś sumki z jej majątku; jednak, gdy pani Tyszkiewiczowa kilkakrotnie wspominała, aby z żoną swą, z którą nie żył, wziął rozwód i wzajemny ich stosunek uregulował, on marszczył się gniewnie i najczęściej nic na to nie odpowiadał.

Kobieta ta z gruntu poczciwa i sercowa, nie mogła wybrnąć z błędu, w jaki popadła z własnej winy i za karę przyszło jej umrzeć na obcej ziemi i wśród obcych, a co gorsza, obojętnych.

Cóż więc dziwnego, że jeśli ją wiadomość o zaręczynach Szumlańskiego doszła, może przeczuwając smutny swój koniec, pożałowała szczerej miłości, którą przecież, nadrabiając miną, nie wahała się nazwać złudzeniem.

Kiedy tak główne osoby opowiadania naszego snuły złotą nić przyszłego szczęścia, a ci, którzy w uczuciach wytrwać nie umieli, złudzeniem je zwali, największy z nich, bo ten, który cały kraj podówczas w osobie swojej przedstawiał, książę Józef Poniatowski, dostrzegł coraz wyraźniej, że wiara w niezłomną potęgę cesarza Napoleona staje się prostem złudzeniem.

Na tę myśl serce rwało mu się z bólu.

Wśród bezsennych nocy i rozpaczy o przyszłość, znalazł jednak pociechę w przekonaniu, że jeśli nadzieje jego i narodu okazały się złudzeniem, świętą powinnością każdego jest spełnić obowiązek aż do końca i wychylić kielich poświęcenia aż do dna.

Z tem przekonaniem w duszy, okryty ranami, utonął niebawem w nurtach Elstery.

Duch jego zaś, idąc z pod zimnych fal przed tron Przedwiecznego, mógł tam z podniesionem czołem złożyć ten honor, który On sam był mu powierzył.

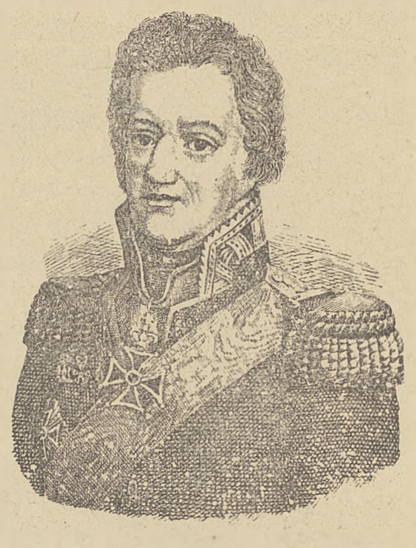
Koniec.

Legiony polskie.

Pięknem było poświęcenie się wojsk polskich. Po rozbiorze nieszczęśliwej Ojczyzny i po bezskutecznych usiłowaniach przywrócenia jej niepodległości, zebrały się pod dowództwem jenerała Dąbrowskiego i pod nazwą Legionów Nadwiślańskich zmierzały ku Włochom, aby zerwać kilka liści wawrzynu i walczyć do ostatniego tchnienia za ukochaną ziemię, której dawną potęgę przyrzekł powrócić za cenę ich krwi wielki mąż owej chwili.

W piękny poranek majowy nieustraszeni ci wojownicy opuścili granice Polski; większa ich część nie miała już jej nigdy zobaczyć. Jaśniejące słońce zlewało na nich potoki światła: dzida kawalerzysty, szabla dragona, bagnet żołnierza pieszego i kaszkiet kirasyera połyskiwały w promieniach słonecznych. Było to zarazem jakby zapowiedzią nieśmiertelnej chwały i jakby gorzkiem szyderstwem z boleści, rozdzierającej ich duszę w chwili pożegnania domowych ognisk, których płomień słodki oświecał ich kołyski.

Otaczała ich dokoła obszerna równina piaszczysta, pokryta lasem jodłowym, którego ciemny koloryt podnosiła jeszcze świeża rosa wiosenna. Tuż obok nich wiła się rzeczka, w wodach jej przeglądały się wierzby płaczące; łzy zorzy porannej, opadające z liści, zraszały zielone jej brzegi. Wilgotna trawa rosła dokoła, chwiejąc się za najlżejszym podmuchem wiatru to w tę, to w owę stronę, kołysząc się miękko, to znowu zginając się ku ziemi, by za chwilę podnieść się wdzięcznie. W oddali rozciągające się pola uprawne stanowiły śmiejące się tło pięknej zieleni, ruń na nich porastała już bowiem bujnemi kępkami. Kilka, tu i owdzie rozrzuconych wiosek, dopełniało obrazu; strzechy ich żółte i białe zagrody odbijały wdzięcznie od ram otaczających. W oddali połyskiwała w słońcu dzwonnica wiejskiego kościółka, a konający odgłos dzwonów dolatywał do uszu żołnierzy: były to modlitwy pozostałych przyjaciół, towarzyszące im przy odjeździe. Sklepienie nieba zasiane było obłoczkami drobnymi, które zwolna okrążyły słońce, przesłaniając zlekka świetny blask jego promieni.



Jenerał Henryk Dąbrowski.

Wojsko ustawione było we dwa szeregi pułkami; każdy pułk dzielił się na bataliony, a każdy batalion na kompanie. Oficerowie smutni i milczący stali wsparci na szablach na czele oddziałów. Oczekiwano dowódzcy a z nim rozkazu do wymarszu.

Posępna rezygnacya malowała się na wszystkich twarzach, począwszy od prostego żołnierza, a kończąc na wodzach. Czasem, co prawda, nagle błyskawica uniesienia i nadziei, przelatując z szeregu do szeregu, ożywiała na chwilę te oczy, co już teraz bez trwogi zmierzyły się ze śmiercią, ale wnet przygnębienie brało znowu przewagę. Mieli bowiem porzucić braci, rodziców, żony, a któryż z nich mógł się spodziewać, że ich kiedyś jeszcze do serca przyciśnie? Nie tylko ich życie, imię nawet zaginąć miało w dalekich krajach; ostatnie westchnienie nie będzie mogło zmieszać się z powietrzem ojczystem, spojrzenie ostatnie napróżno szukać będzie tego nieba, pod którem dla jednych z nich upłynęło dzieciństwo, dla wielu innych życia połowa. Żal im było za ukochaną Ojczyzną, tak bogatą w kłosy, w zieloność pastwisk, tak piękną dawną swą chwałą, tak wielką wspomnieniami; za tą ziemią, zmieszaną z prochami przodków i bohaterów tylu, gdzie każde drzewo, roślina każda była przyjacielem ich lat dziecinnych, a każdy wymówiony wyraz przyspieszał bicie ich serca. Mieli umrzeć zdala od niej, na ziemi obcej, w nieznanych okolicach, ale umrzeć za nią, a tego było dosyć, nic zatem nie mogło zniewolić ich do zawrócenia orłów i sztandarów z drogi ku południowi.

Nadjechał wreszcie wódz na dzielnym, stepowym rumaku, dumny, piękny odwagą męską. I rozkaz fatalny przebiegł armię z końca do końca. Wszystkie kolana ugięły się w jednej chwili, a usta wszystkie wyszeptały krótką modlitwę. Po chwili czoła szlachetne pochyliły się niżej jeszcze; rycerze żegnali ziemię rodzinną, całując suchy pył jej piasków i długo, długo ust swych oderwać od niej nie mogli, jak kochanek żegnający ubóstwianą kochankę. Następnie każdy z nich wziął odrobinę tej ukochanej ziemi i złożył ją na piersi, jak kto mógł: oficerowie w medalionach srebrnych lub złotych, inni w woreczkach z jedwabiu lub aksamitu, żołnierze wreszcie w szmatce płótna.

I wtedy dopiero pozostali wszyscy milczący, ze łzami w oczach. Chwilę jeszcze stali nieruchomi, jakby nie mogąc się wyrwać z objęć wspólnej ukochanej matki; wreszcie drgnęła kolumna cała i rozpoczęto pochód krokiem miarowym. Ozwały się trąby, zagrzmiały bębny, sztandary rozwinęły

się w powietrzu i każdy z wojaków z nową energią ku nowym porwał się zapasom. Chwila żalu, chwila słabości już przeszła. Żegnali wprawdzie ojczyznę i braci, ale to właśnie za nią i za nich walczyć mieli, i jeżeli nie mogli szczęścia im wrócić, to przynajmniej ostatnim odbłyskiem chwały opromienić chcieli ciemny grób ukochanej Polski. I myśl ta pokrzepiła ich siły, obudziła na nowo odwagę i nadzieję; pieśń wojenna popłynęła w powietrze, w oczach zabłysnął zwykły im ogień. Była to pieśń męczenników. Tak się rozpoczął ów pochód uciążliwy, długi i niebezpieczeństw pełny.

Włochy rozlegały się chwałą ich czynów wojennych. Z pod popiołów przed wiekami zagasłej wolności odgrzebywali oni drobne jej iskierki, aby je przenieść kiedyś na ziemię rodzinną i rozpalić w płomień niewygasły. Wysiłki ich pozostały bezowocne; stanowią jednak pociechę najwyższą i będą na wieki wspomnieniem nieśmiertelnej chwały. Od rzeki Po aż po brzegi Tybru rozlegał się odgłos bohaterskiego ich pochodu; groby Scypionów i Cezarów widziały ich przyjście. Most Arcole ugiął się pod ciężarem ich broni, gdy się rzucili w ślad za zwycięskim sztandarem, który powiewać będzie długo pod tchnieniem uwielbienia wieków. Fale Trebii zmieszały się z ich krwią szlachetną, a wieże Wenecyi połyskiwały w odblaskach ich oręża. Na szczycie Kapitolu zatknęli chorągwie i miasto wieczne powtarzało okrzyki ich tryumfu. Jak wicher przemknęli przez starożytną Auzonię; niebo Neapolu uśmiechało się nad ich głowami, płomień Wezuwiusza obok nich wybuchał. Tymczasem liczba ich zmniejszała się z dnia na dzień, z bitwy do bitwy, z jednego pochodu do drugiego. Krzyże ich mogił świecą blaskiem nieśmiertelnym nad wodami Anio i na słodkich brzegach Sorrento, na czarnych Apenin łąkach i ponad Adryatykiem, co każdą falą, uderzającą o skały, zdaje się szemrać modlitwę za umarłych i na wybrzeżu Śródziemnego morza, którego milczące obszary są ich spoczynku wyrazem. Nie szczędząc życia, ani odwagi, wieńcząc czoła laurami zwycięstw, polegli bez skargi na ustach, bez słowa żalu. Tysiące ich silnych i odważnych wyruszyło do Włoch, kilku zaledwie wróciło do kraju, inni śpią snem wiecznym w stronach dalekich z piersią, przeszytą ciosem śmiertelnym, a obok nich szabla, ów oręż, siejący postrach, co się wymknął z uścisku ich dłoni wówczas tylko, gdy dłoń ta skrzepła na wieki.

* * *

Po wielu latach w piękny dzień wiosenny człowiek jakiś zbliżał się do Polski. Odzież jego była w łachmanach. Szedł z trudem. Kask żołnierski, podziurawiony kulami, przykrywał białe jego włosy. Resztki munduru, na których błyszczały jeszcze gdzieniegdzie barwy narodowe, ściskały postać jego nanów w San Domingo, na szczytach Sierra-Morena, wśród tajemniczych zakrętów Alhambry, na uroczych brzegach Renu, pomiędzy mirtami i pomarańczami wzgórzy włoskich, wśród gwaru miast wielkich i ciszy ponurej pól, wśród rzezi nawet, gdy śmierć dokonywała swego dzieła — marzył o



Japonki. (Według oryginalnej fotografii)

silną, lecz już nieco pochyloną. Epolety, przyćmione prochem bitew, tkwiły na ramionach; dwa krzyże, których emalię starł ołów zabójczy, spoczywały na jego piersi, a szabla była u boku. Ona tylko była niezmieniona, ona i serce tego, co ją nosił. Przybył do granicy. Chwilę zdawało mu się, że zmylił drogę; lecz nie: oto właśnie ta sama piaszczysta równina, porosła jodłą i rzeka dalej i dokoła te same łany zboża i wieże kościółka w dali. Odkąd ostatnie przesłał im wejrzenie pożegnania, inne kraje, inne zwyczaje, inni ludzie go otaczali; końcem swej szabli torował sobie drogę przez całą niemal Europę; ale wszędzie, między piramidami starego Egiptu, pod cieniem ba-

równinach ojczyzny i pragnął raz jeszcze je zobaczyć; a teraz, kiedy to pragnienie jego serca, ta wizyta synów jego, to życzenie całego życia, pełnego wstrząśnień i wzruszeń, ziściło się nareszcie, w jakimże stanie znajduje tę ziemię swoją.. Cały wiek młody przebył w obozach i w pośród niebezpieczeństw tylu; później poświęcił odpoczynek swój i życia ostatek staraniom o powrót do kraju w nadziei, że go odnajdzie dawnym i wspaniałym, jak za pięknych dni chwały. A teraz trzeba mu będzie, wróciwszy pod dach ojczysty słuchać wzdychania, wyrzutów, skarg i płaczów żałoby i nie będzie mógł umrzeć szczęśliwy, bo tak długo pieszczona nadzieja zagasła!

Ze smutkiem w duszy przeszedł te miejsca, które porzucił w młodości w ów śliczny majowy poranek, a gdy już był daleko od oczu ludzkich, wciągnął całą piersią rodzinne powietrze i powietrze to wywołało w pamięci jego wspomnienie dzieciństwa, pieszczoty matki, śpiewy piastunki, błogosławieństwo chorego ojca i łza stoczyła mu się z powieki, która nigdy dotąd w żadnem niebezpieczeństwie nie drgnęła. Popatrzył jeszcze, czy go kto nie widzi, potem sięgnął ręką w zanadrze i wyjął małe zawiniątko; przycisnął do ust, otworzył i żółty kurz poleciał około niego i upadł na piasek.

„Ziemio Polski, wróć do swej matki“ — rzekł stary wojak. *„Niosłem cię przez świat cały złożoną na mem sercu, teraz oddaję cię, skąd wziąłem“.*

Westchnął i zwracając w niebo rzewne spojrzenie, poszedł dalej w głąb lasu, znaną niegdyś drogą.

Zygmunt Krasiński.

LEGJE.

(Wspomnienie historyczne z r. 1797 i 1798).

Za Niemen! Za Wisłę!
W ten cudny kraj włoski!
Tam zbiera legiony,
Pan Henryk Dąbrowski!

Sześć tysięcy naszych
Pod bronią tam stoi,
Już się Suworowa
Dzikiego nie boi!

Jeden legion wiedzie
Jenerał Rymkiewicz,
Drugiemu przywodzi,
Nasz dzielny Kniaziewicz!

Na konikach skaczą
*Szwoleżery nasze *)*
Mundur narodowy,
Przy bokach pałasze.

Lance z chorągiewką
W rannem słońcu świecą,
Orły białe nasze
Znów pod niebo lecą!

W piersi serce mężne,
W czynach bohaterstwo,
A godło Legionów:
*— Wolność i Braterstwo! **)*

* * *

„Jeszcze nie zginęła!“

Jako w polu przeoranem,
Siew runieje wiosną,
Tak i w mężnych polskich sercach
Znów nadzieje rosną.

Śpiewa żołnierz na widecie,
Śpiewa u ogniska,
A Ojczyzny imię drogie,
Jak gwiazda mu błyska!

Aż z nadziei urodzona,
Piosenka wionęła
Nad Legiony nasze dzielne —
„Jeszcze nie zginęła!...“

*Kto ją pierwszy tam wyśpiewał ***)*
Nikt już dzisiaj nie wie —
Ale żyje duch Legionów
W tym nadziei śpiewie.

Przeleciała piosnka góry,
Przeleciała morza —
Zaświtała w ziemi polskiej,
Jak nadziei zorza.

Choć nas przemoc gnębi wroga,
Choć nam głos odjęła,
Lata piosnka nad polami:
— „Jeszcze nie zginęła!“

Jan Sawa.

*) Lekka konnica.
**) „Wszyscy wolni ludzie są braćmi.“
***) Józef Wybicki — podobno.

Czterdziestolecie pracy literackiej Elizy Orzeszkowej.

W roku bieżącym, w czerwcu, upływa 40 lat działalności literackiej znakomitej powieściopisarki Elizy Orzeszkowej. W Warszawie podjęto myśl obchodu jej jubileuszu i ma być niebawem zawiązany komitet w tym celu. Grono Warszawianek radziło nad formą, jaką dać należy uczczeniu zasług Orzeszkowej. Wyłoniło się kilka projektów, jak stypendyum imienia Jubilatki, wyższa uczelnia dla kobiet, seminaryum dla nauczycielek i dom wychowawczy imienia Orzeszkowej. Dwa ostatnie projekty miały w gronie obradujących najwięcej zwolenniczek.



Eliza Orzeszkowa.

Wśród polskiej inteligencyi grodzieńskiej powstał także projekt urządzenia w Grodnie na cześć Orzeszkowej uroczystego obchodu jubileuszowego.

Na cmentarzu żywych.

7) (Dokończenie.)

Nadzieja wydobycia się z niewoli przypomniała byłemu braminowi jego wysoką kastę: przechadzał się poważnie i żywo gestykulował...

Stopniowo jednak uspakajał się coraz bardziej, aż wreszcie zaczął mi opowiadać, jak tamten „sahib“ przepędził tu sześć ostatnich miesięcy, jak badał cal po calu niebezpieczne miejsce przez ruchome piaski; jak wreszcie pewnego razu oznajmił stanowczo, że dzięki długim usiłowaniom, udało mu się wynaleźć bezpieczne przejście przez całą prawie szerokość pasma ruchomych piasków. Chwalił się, że do brzegu rzeki nie pozostanie mu już więcej nad 20 metrów do przebycia.

Tej pozostałej części drogi nie zdążył widocznie jeszcze odkryć — gdy Gungo Dass zabił go podstępnie przy pomocy jego własnej strzelby...

Oszołomiony tą radością, że mogę się wydobyć z tej jaskini, uścisnąłem rękę zbrodniarza... Postanowiliśmy jednomyślnie, że spróbujemy uciec tej samej jeszcze nocy. Przygotowania do ucieczki krótko trwały, za to czas oczekiwania wydawał się nam nieskończenie długi. Nareszcie zgasły ostatnie słoneczne odblaski; ciemna, upragniona noc spłynęła do krateru. Nie każdy pojąć zdoła, jak niespokojnie biło mi serce. Gdyby mi jeszcze dłużej w ten sposób czekać wypadało, nie ręczę, czy nie dostałbym pomięszania zmysłów...

Mniej więcej około godziny 10 skończyły się moje męczarnie. Gdy już mleczna tarcza księżyca zawisła wprost nad rozwartą paszczą krateru, Gungo udał się do swojej nory, ażeby z niej zabrać lufę strzelby przeznaczoną do mierzenia drogi.

Wszyscy inni nieszczęśliwi skazańcy oddawna już schronili się na noc do swych kryjówek. Statek wartowników odpłynął w dół rzeki od kilku godzin. Dokoła panowała tajemnicza i uroczysta cisza. Udaliśmy się w drogę i wnet znaleźliśmy się na Wroniej Kępie.

Gungo, idący przedemną z lufą strzelby w ręce, upuścił drogocenny papierek, który miał być naszym przewodnikiem. Zatrzymałem się i nachyliłem, aby go podnieść. Zanim zdołałem to uczynić, sto tysięcy gwiazd płomienistych zajaśniało mi w oczach.

Czułem, że zostałem uderzony straszenie czemś twardem w tył głowy. Upadłem bez przytomności, nad krawędzią ruchomych piasków...

Gdy odzyskałem zmysły, byłem sam... Gungo znikł bez śladu. Odczu-

wałem ból nieznośny w tylnej części głowy i miałem usta pełne krwi.

Zachodzący księżyc wlewał ukośnie ostatnią świetlaną falę we wnętrze krateru...

Upadłem powtórnie twarzą na piasek, nie pragnąc już teraz nic, prócz śmierci...

Wkrótce jednak szalony napad rozpaczy i wściekłości ogarnął mnie znowu. Powstałem z wysiłkiem i, chwiejąc się na nogach, skierowałem się w stronę krateru...

Nagle wydało mi się, że ktoś woła na mnie po cichutku... „Sahib!... sahib!... sahib!...“ zupełnie w ten sam sposób, w jaki zwracał się zwykle do mnie dozorca moich psów, Dunno... Spojrzałem w górę i spostrzegłem jakąś głowę pochyloną nad kraterem. Widocznie ktoś usiłował przeniknąć wzrokiem ciemne wnętrze tej tajemniczej i ponurej jaskini...

Wpatrzywszy się pilnie, poznałem rzeczywiście twarz mojego służącego. Jak tylko spostrzegł, że już zdoła zwrócić na siebie moją uwagę, podniósł rękę, i pokazał mi sznur gruby.

Słaniając się, z największym wysiłkiem woli dałem mu znak, aby mi go rzucił. Okazało się, że były to dwa mocne rzemienie, związane razem, z pętlą na końcu. Przesunąłem pętlę przez głowę, pod pachy, usłyszałem głos wiernego sługi: „naprzód!...“ i uczułem, że jestem wleczony w górę po stromej ścianie piasku z twarzą ku niej zwróconą...

W chwilę później znalazłem się z ustami pełnemi piasku na pół omdlały, na wzgórzach piaskowych, wznoszących się nad kraterem...

Dunno, którego twarz w świetle księżyca przybrała barwę szarą, popielatą, błagał mnie, ażeby wracać jaknajprędzej do namiotu... Wierny sługa, jak się okazało, biegł za śladami Pornika przeszło dwie mile przez piaski, aż do krawędzi krateru. Następnie tąż samą drogą wrócił do namiotu, i wezwał na pomoc wszystkich służących. Ci jednak oświadczyli mu stanowczo, że z człowiekiem, który zapadł raz w okropny cmentarz żywych — nie mogą mieć nic nadal do czynienia. Człowiek taki jest już na zawsze umarły, bez względu na to, czy był on czarny, czy biały...

Dzielny Dunno nie dał jednak za wygraną; wziął dwa mocne rzemienie, dosiadł jednego z moich wierzchowców, powrócił sam do krateru i wyciągnął mnie z niego.

Na zakończenie dodaję, że Dunno jest teraz moim lokajem. Otrzymuje podwójną pensyę miesięczną, co uważam jeszcze za zbyt małe wynagrodzenie za usługę, jaką mi wyświadczył.

Za nic w świecie nie zbliżyłbym się powtórnie do okropnego miejsca, które zwiedziłem wbrew własnej woli. Nie



Ocalenie.

zdołałbym też wskazać dokładniej, gdzie się ono znajduje...

Gungo Dass przepadł bez śladu... Nigdy w życiu już się z nim nie spotkałem i nie pragnę tego wcale!...

KONIEC.

Człowiek wobec przyrody.

(Pogadanka naukowa).

Życie ludzkie jest w ścisłej zależności od otaczającej go przyrody. Dzięki rozumowi udało się człowiekowi opanować siły przyrody, uzależnić je pod wielu względami i wyzyskać z korzyścią dla siebie. Dosyć przypomnieć sobie, jakiem było życie ludzkie przed wiekami, w owych czasach zamierzchłych, których nie znają dzieje. Dowiedzieliśmy się o tem dzięki wykopaliskom i uciążliwym pracom, które przez długie lata prowadzone były przez szereg uczonych i badaczy. Człowiek pierwotny mieszkał w szałasach, które z mozołem budował na palach, nad wodą, by tym sposobem obronić się przed dzikiemi zwierzętami; żył tylko z polowania, bo nie wiedział, jak chlebodajną może być dobrze uprawiona gleba. Okrywał się skórą z dzikich zwierząt, tak, że i sam bardziej do dzikiego zwierzęcia, niżeli do człowieka był podobnym.

Gdy porównamy człowieka z przed wieków z dzisiejszym, widzimy, jak wielka różnica zachodzi w nim pod każdym względem. A jednak całych wieków potrzeba było, by człowiek doszedł do tego, jakim dziś jest. W miarę rozwoju umysłowego czynił się coraz bardziej niezależnym od sił przyrody; z biegiem czasu, w miarę rozwoju swego ujmował je w swe ręce, tak, że dziś jest więcej panem przyrody, niźli jej niewolnikiem.

Dowodów po temu nie brak na każdym kroku. Nieurodzajna gleba przez odpowiednią uprawę i użyźnienie dziś daje plon dobry; całe przestrzenie piasków, torfowisk i błót przez osuszenie i doskonałą uprawę stały się źródłem dobrobytu wielu milionów ludzi. Widzimy to właśnie w Holandyi, w Niemczech północnych i w Danii.

Wieleby można było przytoczyć takich przykładów.

A jednak, mimo wielkich postępów wiedzy ludzkiej, człowiek zawsze jeszcze został w pewnej mierze zależnym od przyrody i takim zawsze pozostanie, bo jest małem kółkiem w maszynie wszechświata.

Człowiek jest składnią dwóch stron — duchowej i fizycznej. Duchowa — to nasze myśli i uczucia, fizyczna — to ciało nasze. Obie te strony są nierozerwalnie spojone.

Uczucia i myśli wyrażamy za pomocą słów i znaków, do czego nam służą części ciała: język, szczęki, ręce, nogi itd. I naodwrót — to, co działa na nas zzewnątrz, wywołuje odpowiednie odczuwanie bólu, ciepła, chłodu, przyjemności i t. p.

Z tej to spoistości naszego ciała i ducha wypływa oddziaływanie przyrody w równej mierze na stronę fizyczną i duchową naszej istoty. A więc klimat, warunki miejscowe, pory roku, pogoda, zmiana dnia i nocy — wszystko to rozmaicie na człowieka działa. Inaczej się on czuje w zimie i w lecie, we dnie i w nocy, w dzień jasny i pochmurny.

Dzięki postępom wiedzy umie dziś człowiek odpowiednio się zastosować do zmian pogody i pór roku, dzięki też temu mniej z ich powodu cierpi. Dziś więc umie człowiek zbudować sobie ciepłe mieszkanie, zabezpieczające go od wiatru, chłodów i mgły, albo deszczów, spiekoty słonecznej i upałów.

Najwięcej chorób powstaje z braku umiejętności odpowiedniego zastosowania się do raptownych zmian pogody, warunków miejscowych lub trybu życia.

Niemniej klimat i warunki życia wpływają na duchową stronę człowieka. Łatwo sobie uprzytomnić, jak nam pogodnie i wesoło na duszy w cichy, jasny dzień słoneczny, a jak smętno robi się w duszy w dzień pochmurny jesienny, gdy deszcz otula świat w zimny i smutny płaszcz, a mokra mgła osiada na piersi.

Wszelkie ostre zmiany w pogodzie, jak wielki upał, tak i mróz, szkodliwe są dla zdrowia ludzi i zwierząt. Ogólnie znane są porażenia słoneczne, wywołane promieniami słonecznymi; jeszcze częściej zdarza się odmrażanie członków ciała wskutek silnych mrozów. Ciekawem jest to, co dawno znamy, że napoje wyskokowe, jak: spirytus, wino i t. p., robią człowieka bardzo wrażliwym na zmiany pogody. Porażenia słoneczne i odmrażania członków ciała wydarzają się o wiele częściej pijakom, aniżeli trzeźwym. Pochodzi to stąd, że ciało człowieka, czyli jego organizm, wskutek sztucznej podniety, jaką wywołuje alkohol, wytrącony jest z równowagi, nie działa w sposób normalny i nie jest dosyć odpornym na wpływy zewnętrzne. Gorzkie doświadczenia w tej dziedzinie nauczyły ludzi ostrożności — niestety zamało jeszcze!

To też ani ludzie udający się do bieguna północnego, gdzie panują wieczne lody, ani wyprawy na południe, do gorących krajów, nie zaopatrują się w alkohol.

Wskutek wielkiej zależności ciała człowieka od miejscowych warunków klimatycznych, musi on przyjmować różny pokarm w różnych krajach. Pokarm ludzi krajów gorących różni się znacznie od pokarmu ludów północnych. Mieszkańcy południa jedzą mniej i inaczej, niż na północy; używają więcej pokarmu roślinnego, jarzyn i owoców, gdy na północy więcej jedzą mięsa. Bo na południu, w klimacie gorącym, ciało ludzkie mniej traci ciepła i dlatego mniej potrzebuje pokarmu dla wytwarzania go, niż w klimacie zimnym.

Światło i ciepło mają niezmiernie duży wpływ na życie ludzkie, z czego powstaje rozmaite oddziaływanie pór roku. Jak w życiu zwierzęcem, tak i w roślinnem są rozmaite okresy silniejszego i słabszego rozwoju, zależnie od pory roku. Wiemy, że ku jesieni drzewa tracą liście, trawa usycha — w zimie niknie życie roślinne, zamiera pod mroźnym szronem. Podobne zjawisko daje się zauważyć w świecie zwierzęcym, aczkolwiek nie w równej mierze. Doktór Hansen (dyrektor Instytutu dla głuchoniemych w Kopenhadze) robił doświadczenie z dziećmi. Okazało się, że dziecko rośnie najszybciej od lipca do sierpnia, w jesieni o wiele słabiej, ale w tym okresie zyskuje za to na wadze; w zimie nie przybywa mu ani wzrostu, ani wagi. A więc ciepło pobudza organizm do rozwoju fizycznego, a zimno wstrzymuje go.

Bardzo niekorzystnie wpływają na stan fizyczny, czyli ciało człowieka, ostre zmiany pogody. Na wiosnę śnieg topniejący nasyca powietrze wilgocią; rozmiękczona ziemia wydziela niezdrowe wyziewy i chorobliwe zarazki. Czas ten bardzo sprzyja wszelkim chorobom. Zwłaszcza wczesna wiosna niebezpieczną jest dla piersiowo słabych, dla tych więc, których płuca nie tak łatwo mogą się zastosować do ostrych zmian w powietrzu.

Upalne lato jest również niekorzystnem dla zdrowia, bo zarazki chorobotwórcze najwięcej się rozmnażają w temperaturze wysokiej i szerzą wszędzie zarazę. I zimno daje się we znaki, zwłaszcza uboższej ludności. Ciśnie się ona wówczas do ciasnych, źle ogrzewanych chat, najczęściej brudnych i niedostępnych dla dopływu świeżego powietrza. Warunki te są często zabójcze i przyczyniają się do powstawania szeregu chorób: tyfusu, dyfterytu, szkarlatyny, odry itd. W zimie bowiem, nawet w najlepszych warunkach, wskutek braku ciepła i światła, słabnie działalność ciała człowieka i jego wewnętrznego ustroju, nieodpowiednie zaś warunki życia potęgują owo osłabienie. Zima też czasem najbardziej sprzyja rozwojowi bezkrwistości; spostrzega się to w bladości ludzi a zwłaszcza dzieci i dziewcząt, w ogólnej obojętności ich na wszystko, w bólach głowy, w stałem nerwowem podrażnieniu.

Często przyjście wiosny z jej ciepłem słonkiem leczy bezkrwistość taką i jej skutki bez pomocy lekarskiej.

Z. S.

Restauracya Wawelu.

Świeżo odbyło się posiedzenie członków komitetu krajowego galicyjskiego, który pod przewodnictwem marszałka krajowego, hr. St. Badeniego, obradował nad sprawą restauracyi Wawelu.

Komitet powziął cały szereg uchwał, które jako opinia przedstawione zostaną Wydziałowi krajowemu do ostatecznej decyzyi. Uchwały te dotyczą przedewszystkiem kwestyi, jakie roboty mają być w ciągu roku bieżącego na Wawelu wykonane. Komitet uchwalił zatem zalecić:

1) Wykonanie restauracyi i wymiany zepsutych ciosów co najmniej w ośmiu przęsłach arkadowego podwórza zamku na wszystkich trzech piętrach. Rozebrane być mają mianowicie, po odpowiedniem podstęplowaniu dachu, słupy górnej galeryi, następnie słupy galeryi średniej i dolnej. Wstawienie nowych na miejsce zwietrzałych lub pękniętych słupów, rozpocznie się od galeryi dolnej. Wszystkie słupy i części rzeźbione, jak kapitele i przepaski, choćby były uszkodzone, lecz technicznie wytrzymujące ciśnienie, będą na nowo użyte i jedynie do pionu i wagi ustawione.

2) Wykonanie projektu restauracyi fasad i dachów, wraz z wykonaniem dwóch modeli restauracyi, wraz z detalicznymi kosztorysami.

3) Przekopanie całego wewnętrznego podwórza aż do głębokości dawnego stałego terenu, a to ze względu na badania historyczne i przedhistoryczne.

4) Rozebranie kominów na całym zamku, z wyjątkiem tych, które prowadzą do zamieszkałych ubikacyi, a to w celu poszukiwania za licznymi fragmentami architektonicznymi, które mogą zadecydować o kształtach pojedyńczych szczegółów przy odnowieniu zamku.

5) Dalej uchwalił komitet zalecić Wydziałowi krajowemu, ażeby do krajowego komitetu dla odnowienia Wawelu powołał pp. architektę Talowskiego ze Lwowa, budowniczego inżyniera Pakiesa z Krakowa, artystę-malarza profesora Jana Stanisławskiego i artystę-rzeźbiarza Wacława Szymanowskiego.

6) Ze względu, że liczne zwiedzanie Zamku w dniach powszednich, z powodu prowadzonych robót na znaczną skalę, utrudnia w wysokim stopniu postęp prac restauracyjnych, a nawet połączone być może z pewnem niebezpieczeństwem, wskutek czego zajdzie potrzeba ustanowienia ukwalifikowanych przewodników, uchwalił komitet zaproponować Wydziałowi krajowemu, ażeby na przyszłość zwiedzanie Zamku dozwolone było tylko w każdą środę od godziny 1 do 4 po południu za opłatą po 1 koronie od osoby, oraz w niedziele i święta od godziny 9 do 12 w południe za opłatą po 20 hal. od osoby.

7) Komitet wyraził w końcu życzenie, ażeby — dla przekonania się i wyrażenia opinii o postępie dalszych robót — następne posiedzenie odbyło się w czerwcu b. r.

Do Młodzieży!

*Prolog wypowiedziany na wieczornicy jubileuszowej wildeckiego Towarzystwa Młodzieży Polsko-Katolickiej, dnia 18-go lutego r. b. przez autora p. **Seweryna Wrzesińskiego**, wicepatrona Towarzystwa.*

Gdy miecz po ojcach w spuściźnie nam dany,
Na krwawem polu z rąk naszych wydarto,
A wróg przemożny — nad Wisłą i Wartą
Z siedzib odwiecznych wiódł naród skowany,
W jarzmo niewoli, wtedy duch narodu,
A duch jest wolny, nie skować go w pęta —
Przeszedł w maluczkich... i była poczęta
Moc, która kiedyś pośród zwalisk grodu,
Co zapadł w gruzy pod młotem stuleci
Zbuduje twierdzę ku wolnych obronie,
A wyzwolenia sztandar biorąc w dłonie
Promienną jutrznię swobody roświeci.
Ten duch dziś z Wami! Mocą swoich znamion
Wiedzie Was drogą w dal szczytną i jasną.
A ci, co pójdą już w znoju nie zasną,
Bo duch jest z nimi. Siłą waszych ramion
Podnieście młoty nad czynów kowadło,
A jeśli przyjdzie Wam z trudem się złożyć
Myśl Was pokrzepi, że Wam dziś przypadło
Nie przeszłość wskrzeszać, ale przyszłość tworzyć.

Nasza ofiarność.

Złożono do dnia 26-go lutego włącznie:

Na urnę śrebrną dla hetmana Żółkiewskiego: 1 mr.

Na Macierz Szkolną w Królestwie, Towarzystwo Przemysłowców polskich w Dreźnie z nadwyżki z przedstawienia amatorskiego 10 mr.

Dotychczas złożono razem 296 mrk 68 fen.

Na Tow. Pomocy Naukowej Karola Marcinkowskiego

a) dla chłopców dotychczas złożono 2 mr.

b) dla dziewcząt dotychczas złożono 10 mrk.

Na Czytelnie Ludowe X. X. z Poznania 20 mr. Razem złożono dotychczas 23 mr.

Na „Straż“ dotychczas złożono 4 mr.

Na stacyą kolonii wakac. „Stella“

Na „Gniazdo“-budowę sali „Sokoła“ w Poznaniu złożono 2 mrk.

Na elementarze dla biednych dzieci złożono dotychczas 18 mrk. 50 fen.

Na rodzinę Jana Wyciska dotychczas wpłynęło 97 mrk. 40 fen. Z tej sumy wysłaliśmy dnia 22-go grudnia dla pani Wyciskowej 74 mk 65 fen; pozostaje mrk 22 75. fen.

Na Weteranów

z roku 1848-go
razem wpłynęło dotychczas 2 mrk
„ 1863-go wpłynęło dotychczas 73 mrk 77 fen.

Z tej sumy wypłaciliśmy komu należy 48 mrk. 20 fen; pozostaje mrk 18,95 fen.

Na rodziny skazańców w Gliwicach wpłynęło dotychczas razem 12 mrk.

Na budowę kościoła w Żninie

Na odnowienie Wawelu w Krakowie wpłynęło dotychczas 2 mrk.

Na głodnych w Królestwie Towarzystwo Przemysłowców Polskich w Dreźnie z nadwyżki z przedstawienia amatorskiego 40 m. 73 fen.

Razem wpłynęło dotychczas 303 mrk 1 fen.

Na rodzinę robotnika Karola Piotrowskiego, zamordowanego w Warszawie przez socyalistów: p. W. Ziarniak z Strzałkowa 1 mrk. 50 fen. Wpłynęło dotychczas 12 mrk 20 fen.

Dla banity kaleki bez nóg Walentego Półtoraka: p. W. Ziarniak z Strzałkowa 1 mrk. 50 fen. Razem wpłynęło dotychczas 4 mrk. 50 fen.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Treść nr. 7-go „Przeglądu rolniczego“: Badanie nasion przy zakupnie. — Z hygieny mleczarstwa, przez dr. Józefa Lutosławskiego. *Rolnictwo na ziemiach polskich:* Płocka produkcya nasion, przez dra. J. Kosińskiego. — Owczarstwo w Wielkopolsce. — Z nad Pilicy (feljeton). *Nowości zawodowe i rozmaitości:* Sprzedaż zboża według suchej substancyi. — Wpływ uprawy roślin na wydajność źródeł. — Nowe gatunki paszy. — Środek na wzbudzenie popędu płciowego u zwierząt. *Kronika rolnicza:* Zebranie Sekcyi cukrowniczej. — Zebranie Towarzystwa rolniczego w Siedlcach — Zgromadzenie polskie w Kijowie. — Towarzystwo „Kobiece gospodarstwo wiejskie“ w Krakowie. — Walne Zebranie Oddziału gospod. w Kałuszu. — Kurs rolniczy w Tarnowie. — Bezprocentowe pożyczki dla Kółek rolniczych. — Z ankiety chmielarskiej we Lwowie. — Spółki włościańskie w Galicyi. Handel ziemią w Księstwie Poznańskiem. — Reforma agrarna w Rosyi. — Wystawa bydła opasowego w Wiedniu. *Wiadomości handlowe.*

Treść nr. 8 go „Przemysłowca“: O poszczególnych zawodach rzemieślniczych. — W sprawie przemysłu polskiego. — Ruch w Towarzystwach. — Nasze Towarzystwa, ich majątek, ich długi. — Nowy polski przemysł fabryczny w grodzie Lecha — O zapobieganiu szkodliwości dymu fabrycznego. — Z dziedziny techniki: Kolej wisząca w Berlinie. — Kronika. — Od Redakcyi. — Odpowiedzi od Redakcyi.

Nekrologia.

† Ś. p. *ks. Jan Rosolski,* proboszcz Gostyczyński, senior dekanatu ołobockiego, umarł dnia 24-go z. m. w Gostyczynie w 76-ym roku życia a 49-ym kapłaństwa po gorliwej i sumiennej blisko 46-tetniej pracy w parafii. R. i. p.

† Ś. p. *ks. Juliusz Klass,* proboszcz trzebiszewski, w 74-ym roku życia a 46-ym roku gorliwej i sumiennej pracy kapłańskiej, dnia 22-go z. m.

† Ś. p. *Jan Bonczak,* dnia 22-go z. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 24.

† Ś. p. *Maryanna Fiebig,* dnia 19-go z. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 66.

† Ś. p. *Barbara Kujawa I. voto Aumüller z domu Kayser,* dnia 22 go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 62.

† Ś. p. *Ludwik Jarczewski,* dnia 22-go z. m. w Poznaniu w 77-m roku życia.

† Ś. p. *Matylda z Kahlów* Frankiewiczowa, dnia 25-go z. m. w Obornikach. Zwłoki złożono do grobowca w Siekierkach pod Kostrzynem, dnia 1-go b. m.

† Ś. p. *Zygmunt Szczeszyński,* dnia 25-go z. m. w Kórniku w 40-ym roku życia.

† Ś. p. *Mateusz Waszkowiak,* dnia 24 go z. m. w Wielichowie w 75-ym roku życia.

† Ś. p. *Andrzej Tybiszewski,* weteran z roku 1848-go, dnia 24-go z. m. w Gościeszynie, w powiecie żnińskim, w 84-ym roku życia.

Z teki tetryka.

Z powagą narzeczonej chodzi zwykle pogoda i szczęście. Kto bez żalu całe serce oddaje, ten nie może tęsknić za niczem i jasno patrzy w przyszłość.

* *

Pieniędzmi najłatwiej przekupić opinię publiczną.

* *

Ofiara jest tylko wtedy naprawdę pożyteczną, gdy nie przynosi uszczerbku dającemu.

DZIAŁ SZARADOWY.

Rebus.



Rozwiązania nadsyłać należy do dnia 10 marca włącznie.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Bank Przemysłowców w Poznaniu

jest najstarszą i największą z naszych spółek zarobkowych. Założony w roku 1861 rozwijał się prawidłowo do r. 1874, w którym to czasie na fałszywych znajdował się torach, wdawając się w rozmaite spekulacye, które w końcu spowodowały stratę funduszów rezerwowych i 30 procent udziałów. Korzystając z nauki drogo okupionej wstępuje od tego czasu instytucya na zdrowe i właściwe drogi, wykluczając wszelką spekulacyę, służąc tanim i dogodnym kredytem i powiększając rokrocznie liczbę członków i kapitał obrotowy.

Do kapitału obrotowego należą: Fundusze rezerwowe, udziały i depozyta, a wzrost ich w Banku Przemysłowców przedstawia nam następujące zestawienie:

W roku 1894 wynosił kapitał obrotowy 3 miliony i 299 594,47 mk., w r. 1900. 5 milionów i 695 912,49 mk., w r. 1902. 8 milionów i 701 674,76 mk., w r. 1904. 14 milionów i 302 628,45 mk., w r. 1905. 17 milionów i 891 880,98 mk.

Fundusze rezerwowe i udziały członków służą przedewszystkiem na pewność dla deponentów. Podług bilansu wynoszą rezerwy 401 093,50 mk. a udziały 3 miliony i 989 130 mk. Oprócz tego wynosi ogólna, odpowiedzialność wszystkich członków, których Bank liczy 4796 odpowiadających za każdy udział osobno 2 tysiące mk., poważną sumę 14 milionów i 852 tysięcy marek. Z tych cyfr wynika, że depozyta ulokowane w Banku Przemysłowców w wysokości 13 milionów i 017.048 mk. są absolutnie pewne, a wzrost ich świadczy o wielkiem zaufaniu, którem się Bank cieszy w wszystkich sferach społeczeństwa. W roku ubiegłym powiększyły się udziały o 585 386 mk., a depozyta, o 2 miliony i 904 022 mk.

Kapitały te ulokowane są przedewszystkiem w wekslach, których Bank posiada za 16 milionów i 101 639,93 m. Na dalszą pewność tych pożyczek wekslowych znajdują się w posiadaniu Banku podkładki w wysokości 12 milionów i 883 861 mk. W tej sumie mieszczą się hipoteki na posiadłościach wiejskich w wysokości 8 milionów i 797 004 mk.

Stan poszczególnych interesów Banku wynika z następujących najważniejszych pozycyi bilansu podanych w okrągłych cyfrach:

W stanie czynnym jest pożyczek wekslowych 16 milionów i 101 640 m., papierów wartościowych 997 630 mk., akcyi Banku Związku 60 000 mk., nieruchomości 456 052 mk.

W stanie biernym: udziałów 3 miliony 989 tysięcy 130 mk., depozytów 13 milionów 17 048 mk., funduszu rezerwowego 150 000 mk., funduszu emerytalnego 90 648 mk., funduszu rezerwy nadzwyczajnej 94 346 mk., funduszu jubileuszowego 2343 mk., zysku saldo 312 333 mk.

Cyfry powyższe dostatecznie udowadniają, że Bank Przemysłowców jest instytucyą na zdrowych opartą podstawach i miejmy nadzieją, że nadal jaknajkorzystniej rozwijać się będzie na pożytek naszego społeczeństwa.

Spółka Rolników Parcelacyjna w Poznaniu.

Przestrzegana przez Spółkę naszą — tak pisze między innemi niżej podpisany Zarząd w nadesłanem nam *dwunastem sprawozdaniu z czynności w roku 1905-ym* — w prowadzeniu interesów ogledność i przezorność z idącemi za tem korzystnemi rezultatami jednają nam w społeczeństwie zaufanie, które z każdym rokiem coraz więcej się wzmaga. W ubiegłym r. 1905, za który niniejsze sprawozdanie zdajemy, objawiło się ono pod wielu względami. Oto suma wpłacona na udziały podniosła się w stosunku do poprzedniego roku o 137 153 marek i doszla do poważnej cyfry 698 258 marek.

Członkowie, posiadający 3 252 udziałów, odpowiadają Spółce majątkiem swym na 1 626 000 marek. Fakt ten pociąga za sobą rozmaite inne dodatnie następstwa. I tak suma powierzonych nam depozytów przekroczyła już 3 miliony marek, które przeważnie złożone są za rocznem i półrocznem wypowiedzeniem. Zasoby nasze pieniężne podniosły się i ztąd, że hypoteki nasze znajdują chętnych nabywców, i że dłużnicy nasi bardzo często już przed zakontraktowanym terminem uiszczają się ze swych zobowiązań w obec Spółki. Z tego tytułu wpłynęło do kasy naszej 1 231 000 marek.

Kapitały zyskane zużyliśmy na zakupno nieruchomości, na finansowanie powierzonych nam parcelacyi, na udzielanie pieniężnej pomocy klientom do kupna majątków i wreszcie na regulowanie hypotek.

Z nieruchomości naszych, które razem przedstawiały wartość 1 786 788,95 marek, sprzedaliśmy w ciągu roku 7 to mniejszych, to większych majątków razem za 986 338,95 marek. Pozostała reszta reprezentuje podług ceny zakupna wartość 800 450 marek. W roku 1905 rozparcelowaliśmy, odnośnie sprzedaliśmy w całości 7 380 mórg między 99 nabywców; a od czasu zawiązania Spółki 55 274 mórg między 1 182 rodzin.

By nabywcom dać możność wywiązania się z przyjętych w obec nas zobowiązań, zostawiamy im dostateczny czas do wzmocnienia swych sił finansowych i ztąd żądamy spłaty udzielonej im pożyczki dopiero po dłuższym szeregu lat.

Przewyżka z dokonanej w r. 1905 parcelacyi, z prowizyi, z procentów i z dzierzawy przyniosła po potrąceniu kosztów handlowych i kosztów administracyi majątków 177 327,00 mk., z której to sumy przelaliśmy: a) do funduszu Wątpliwych pretensyi 5 000 mk. b) na ewentualne straty na nieruchomościach 32 000 mk., razem 37 000,00 marek, tak, że pozostało do podziału 140 327,00 mk.*)

Poznań, w lutym 1905 r.

Zarząd:

Adam Woliński. Józef Kużaj.

Władysław Kaczmarek.

Bank ludowy w Krotoszynie.

Z nadesłanego nam *XXXIV-go sprawozdania za rok 1905-ty* wyjmujemy następujące dane:

Rozchód i dochód wynosił po 12,812,264,44. Z czystego zysku w sumie 46,224,37 przechodzi 1. Na fundusz rezerwowy podług § 40 ustaw 10 proc. 4,622,43. Na rezerwę specyalną podług § 41 ustaw 10 proc. 4,622,43. 3. Na fundusz emerytalny podług § 41 a ustaw 5 proc. 2,311,22. 4. Do dyspozycyi Walnego zebrania 34,668,29.

Członków jest 1981, a w skład Zarządu wchodzą pp. dr. Polewski Stanisław, dyrektor, Rychlicki Józef, podskarbi i Chmielewski Bolesław, kontroler.

*) Na walnem zebraniu, odbytem dnia 23-go z. m. uchwalono 8 procent dywidendy.

DZIAŁ KOBIECY.

Niewiasty polskie w r. 1863.

„U bram więziennych i gdzie rannych łoże,
Wszędzie wy, wszędzie, nawet w walki pyle.
I czyż boleści i cierpienia tyle
Ma zmarnieć próżno? — O Boże!“
M. Bałucki.

Straszną była dla nas noc z dnia 14 na 15 stycznia 1863 roku. W Warszawie i całem Królestwie, w każdym niemal domu polskim rozlegał się płacz niewiast, krzyk dzieci. Dla czego? Oto w cichej izbie tuliła kobieta kwilące dziecię, strudzony pracą mąż spoczywał na ławie, nagle ciszę przerwało stukanie do drzwi, w oknie ukazały się twarze zbirów moskiewskich; przyszli, porwali męża i ojca, powlekli go w sołdaty na długie, długie lata.

Tam znowu wzięto młodzieńca, jedynaka matki staruszki, dla której był jedyną podporą. Nie pytano o nic, nie było względu dla nikogo, bo to byli Polacy, którzy zapomnieć nie chcieli, że byli niegdyś wolnym narodem; trzeba więc było okuć ich w kajdany, popędzić hen daleko w lody Sybiru, aby nie ujrzeli do końca życia ziemi rodzinnej, matki rodzonej, żony ni dziecka, albo aby wrócili złamani na ciele i duchu, do widma więcej niż do człowieka podobni, nie zdolni do pracy, ofiary dzikiej przemocy wroga.

Tak się odbyła słynna branka w r. 1863, gwałt straszny, ale nie pierwszy, jakiego się w tym czasie dopuścili Moskale na Polakach. Na ulicach Warszawy z lada powodu strzelano do przechodniów, rewizye dniem i nocą niepokoiły mieszkańców miasta, dość było, gdy znaleziono książkę jaką, modlitwę za ojczyznę, obrazek z orłem lub pogonią, portret naczelnika Kościuszki, a następowały aresztowania, więzienia w cytadeli lub wywóz na Sybir. Uciśniony naród szukał ulgi w pokucie i modlitwie, przywdziano ogólną narodową żałobę, kościoły od rana do późnego wieczora przepełnione były pobożnymi, piękna pieśń: „Boże, coś Polskę“ rozlegała się z tysiąca piersi. Pieśń ta do wściekłości doprowadzała Moskali, przemocą rozpędzano tłumy z kościołów, a do wychodzących strzelano, konie kozackie tratowały kobiety i dzieci.

Do rozpaczy doprowadzony naród, nie mógł dłużej znosić katorg, zapragnął wolności i swobody za cenę życia. Po cichu czyniono przygotowania do walki, zjednywano ochotników we wszelkich stanach i pan i szlachcic, rzemieślnik i wieśniak jednakową cierpieli niewolę, razem stawać powinni do boju z wrogiem. Wieśniacy wtenczas w zaborze rosyjskim jeszcze pańszczyznę odrabiali, to też szlachta a zwłaszcza Towarzystwo rolnicze chciało ich udarować wolnością i ziemią, rząd pańszczyznę chciał zmienić na wieczny czynsz, a wieśniaków buntował na panów, jako na tych, co przeciw carowi spiskują. Nie wielu dało się obałamucić, to prawda, ale zrazu nie było tej obopólnej ufności, jaka potrzebna koniecznie, aby dopiąć ważnego celu. Celu tego wielu nie rozumiało, nie pojmowało. Zabrała się więc młodzież nasza gorąco do pracy, szczególnie panienki po dworach zgromadzały młodzież, starych i dzieci, uczyły pieśni, modlitwy, uczyły czytać i pisać, aby co rychlej przysporzyć Ojczyźnie światłych obywateli-obrońców. Zajęte poważną pracą, nie myślały dziewczęta nasze o zabawach i strojach, przybrane w czarną sukienkę, w czarne paciorki z krzyżykiem, jako jedyną ozdobę u szyi, oddawały klejnoty na zakupno broni, z pięknych jedwabnych sukienek szyły sztandary, haftowały na nich orła, pogoń i św. Michała Archanioła; cienką bieliznę darły na bandaże i szarpie dla rannych.

Ileż to było pracy! ile ofiar! Panna Jadwiga Ż., p. T. Śmiałowska i wiele innych, dnie i noce pracowały; same drukowały no maszynie w panieńskim pokoju ukryły odezwy, pieśni i modlitwy, które rozrzucano, aby zachęcić do walki. Skoro walka się rozpoczęła, wzmogła się praca niewiast naszych, jedne szły na pole bitwy opatrywać rannych, inne przechowywały nieszczęśliwych w domach, chroniły przed okiem Moskali, sposobiły naboje, broń, opatrunki i ze łzą w oku, ale zapałem w sercu, wyprawiały, błogosławiąc na bój: synów, braci, kochanków.

Słyszałyście może od matek waszych, jak to w Krakowie straszną śmiercią kilka panienek zginęło. W domu jednym przy ulicy Mikołajskiej, w ukryciu pracowały panienki, robiąc naboje, rozsypały całą górę prochu i otoczyły ją, nabierając w patrony. Przed obrazem w rogu pokoju paliła się lampka; ktoś przybiegł z wiadomością, jedna z panienek wstała, nieostrożnie rękawem szerokim żałobnej sukni strąciła lampkę, w jednej chwili proch buchnął, dach wyrwało, a panienki niby ptaki, podleciały w górę i spadły czarne, zwęglone, trupy.

W Krakowie był niby spokój, ale szli i nasi na pomoc braciom i nasze niewiasty przykładały ręce do wspólnej pracy. Niedaleko Krakowa, za Wisłą, krew się lała, uwijał się tu generał Langiewicz w okolicy Staszowa i Małogoszczy rażąc Moskali. Rozkazy wodza przenosiła wśród świstu kul, pędząc na koniu, panna Henryka Pustowojtówna, sama nieustraszona, zachęcała do męstwa powstańców. Tutaj też, powalona ośmiu kulami, padła śmiercią walecznego męża pani Dobronoki. Więcej niż głośnych, było cichych, bohaterskich czynów niewiast naszych; wiedzieli o nich ranni, wiedzieli więźniowie w cytadelach, wiedzieli i wrogowie, których Polki cnotą swoją do szacunku zmuszały. A kiedy bój krwawy ustał, po 18-tu miesiącach trwogi i nadziei, kiedy wróg mścić się począł nad nami, kiedy zapełniły się cytadele, zaczerniły wysłańcami sybirskie szlaki, niewiasta polska i tu dzieliła los męża, ojca i brata. Niejedna szła pędzić długie dni niewoli w kopalniach Sybiru, niejedna padła wśród drogi, niejedna tuląc w objęciu niemowlę, spostrzegła, że niesie zmartwiałe, w bryłę lodu zmienione ciałko biedactwa.

Ale mimo tych mąk, nie zapomniała żadna, że jest Polką, nie zapomniała uczyć dzieci swych polskiego pacierza, wlewać im razem z mlekiem w serca miłości ziemi ojczystej, mowy i pieśni ojczystej; nie zapomniała wychowywać je na dalszą drogę męczeńskiej chwały. Nie darmo boją się wrogowie polskich matek, bo póki one nucą nad kolebką dziecka piosnkę ojczystą, póty Polska nie zginęła! (*„Przodownica.“*)

Ślub Alicyi Roosevelt,

córki prezydenta Stanów Zjednoczonych, z Nicholasem Longworthem, członkiem kongresu, został 17 z. m. pobłogosławiony przez biskupa Satlerlee'go. Obrzęd ślubny odbył się w jednym z pokojów wschodniego skrzydła „Białego domu“ w Waszyngtonie, w obecności około 1000 osób. Ów „pokój wschodni“ jest olbrzymią salą i został wspaniale przystrojony. Alicya Roosevelt dała Longwerthowi sześć „koszów“, ale wytrwały amant nie odstraszył się tem i pozyskał wreszcie jej rękę.

ROZMAITOŚCI.

Kultura niemiecka! O następujących okrucieństwach chłopów niemieckich donoszą do „Frankf. Ztg.“ : „Dnia 7-go stycznia w Dorndorf w górach Rhön 50 robotników kolejowych grecko-katolickiego wyznania, pochodzących z Hercogowiny, Czarnogóry i Bośnii, obchodziło w restauracyi święto Bożego Narodzenia. Pili wprawdzie dużo piwa, ale według twierdzenia restauratora byli dosyć trzeźwi i zachowywali się przyzwoicie. Krajowi mieszkańcy wsi nienawidząc obcych robotników, którzy się zadowalniali niższą płacą, umówili się, że *„Polaków“* kijami wypędzą ze wsi. Gdy cudzoziemcy o godzinie pół do 9-tej wieczorem wyszli z restauracyi, napadli na nich liczni krajowcy uzbrojeni w łopaty, rydle i kije.

Z okrucieństwem uderzyli na nich, i wkrótce kilku ciężko poranionych leżało na ziemi. *Niemcy byli podobni do dzikiej hordy.* Pewien parobek jak szalony uderzał ostrym rydlem po głowie leżących na ziemi. Z wielkim trudem udało się cudzoziemcom uciec ku dworcowi kolejowemu i przenieść tam ciężko poranionych. Niektórzy chronili się do pobliskich domów, ale Niemcy ich tam ścigali i bili, aż powalili na ziemię. Jeden z bezbronnych upadł na kolana i błagał Niemca: „Dobry ojcze! nie rób mi nic złego. Ja tu chcę pracować; mam w domu biedną matkę.“ Nadaremnie! Niemiec rydlem rozpłatał mu głowę, tak, że krew wytrysła strumieniem. Innego, który już w łóżku leżał, podobnie poraniono i wyrzucono go w koszuli na drogę. Obok łopat, kijów i rydlów sztraszliwem narzędziem okrucieństw były węże gumowe, które mieli czeladnicy ślusarscy. Późnym wieczorem naokoło dworca kolejowego było jakoby pobojowisko. Pasażerowie, którzy wysiadali z nadchodzących pociągów, napotykali na drodze leżących ciężko rannych i spowodowali przeniesienie niektórych do bezpiecznego schronienia. Jedna zaś z ofiar przez całą noc leżała we krwi przy cmentarzu. Te okrucieństwa przypominają zajścia w Rosyi“.

* * *

Nowomodna filantropia. Od pewnego czasu jest w użyciu w Berlinie oryginalny sposób dobroczynności. Oto urządzona bywa loterya, a wygrane nie przypadają w udziale wygrywającym, lecz służą celom dobroczynnym. Wygrywający otrzymuje jedynie prawo wyboru ubogiego, któremu chce przyjść z pomocą. Tak n. p. towarzystwo przytułków dla młodzieży w Charlettenburgu urządziło dla swoich celów loteryę, a każdy wygrywający otrzymał prawo wysłania dziecka, które wybrał, do charlottenburskich kolonii wakacyjnych. W taki sam sposób, urządza komitet damski towarzystwa uzdrowisk dla chorych piersiowych losowanie na łóżka bezpłatne. Wygrywający otrzymuje prawo stosownie do wysokości wygranej, rozporządzania dożywotniego lub też na czas krótszy, łóżkiem bezpłatnem w uzdrowisku w Belzig. Główna wygrana równa się wartości 10,000 mrk. Wygrywający staje się właścicielem łóżka bezpłatnego. Pięć wygranych upoważnia do rozporządzenia łóżkiem bezpłatnem na 3 miesiące.

* * *

Dziwak-desperat. Z Londynu donoszą, że do szpitala w Leicester przywieziono człowieka z wielką raną, niezagojoną, po ugryzieniu przez psa. Jak się następnie okazało, człowiek ten od lat 18 nie czesał się i nie mył. Po śmierci żony, którą ubóstwiał, postanowił umartwiać się w ten sposób, że nie będzie się w ciągu lat 20 czesał i nie będzie spał w łóżku. W szpitalu wykąpano desperata pięć razy, nie wywarło to jednak jeszcze dostatecznego skutku i lekarze postanowili zaaplikować mu specyalne prysznice na głowę.

* * *

W Moskwie z więzienia uciekł wybitny więzień polityczny, Kandaurow, przy następujących okolicznościach. Aresztowany i raniony na barykadzie przy ul. Brennej w Moskwie podczas powstania grudniowego, ochotnik kawaleryjskiego pułku czernihowskiego, Kandaurow, odwieziony został do kliniki chirurgicznej prof. Djakowa. Dnia 25-go stycznia zjawił się do kliniki rewirowy i odebrał od Kandaurowa piśmienne zobowiązanie niewydalania się z kliniki bez zawiadomienia policyi. Tegoż dnia tymczasem, pod wieczór, zajechał do kliniki wóz z wielkim koszem, w jakim zazwyczaj przywożono bieliznę kliniczną i środki opatrunkowe, a wkrótce po odjechaniu wozu Kandaurow z kliniki znikł. Przypuszczają, że został wyniesiony z kliniki w koszu i wywieziony w miejsce bezpieczne.

* * *

Trzęsienie ziemi w Ameryce. Jak donosi „New York Herald,“ kapitan parowca „Quito,“ Holroyd, który przybył do Guayaquil w Ekwatorze z Tumaco w Kolumbii, opowiadał, że wedle krążących pogłosek, wszystkie miasta pomiędzy Tumaco a Buenaventura w Kolumbii zostały zniszczone przez fale morskie, które wtargnęły na ląd, skutkiem trzęsienia ziemi. W niektórych miejscach powstały w ziemi szczeliny i pochłonęły znaczną liczbę domów. Wieś Pinguagi, leżąca nad Oceanem Spokojnym została przez morze zatopioną, a z mieszkańców ani jeden nie uratował życia. Koło Tumaco fale wyrzuciły na ląd 90 zwłok. Wieś Guacadę i 200 mieszkańców równie zatopiło morze. Koło miasta Cumbal wybuchnął wulkan.

Humorystyka.

Lament Jewki.

A bodajeś! a bodajcie!
Lamentuje Jewka,
Bo se chłopa nie znalazła,
Choć je swarna dziewka.
Aj rety!

— Tatuś kazał na ostatki,
Zakłóć dwóch wieprzaków,
I gozołki dał dwie kwarty,
Zwołał parobcaków.
Aj rety!

Chłopaki się dokumentnie,
Zezarli kiełbasy,
Okrutecnie se tańcyli, —
Popuscali pasy.
Aj rety!

Ale zaden ci za zone,
Nie chciał mnie wziąść sobie,
O mój Boże, panie świanty,
Cóż ja teraz zrobie.
Aj rety!

Facecye autentyczne.

Pewien rodak w stroju staropolskim przybył do Poznania na termin. Gdy już z terminu do domu powracał, wstąpił do składu pewnego starozakonnego, aby kupić dla swej żonki — której na imię Józefa — jej patrona św. Józefa. Na nieszczęście ów żydziak nie miał tej figurki na sprzedaż, lecz nie dał za wygrane. Oto bieże figurkę Schillera i podaje ją naszemu wiarusowi. Chłopek się zdziwił i mówił: „Jej la Boga! czy to święty Józef kiedy w kapeluszu chodził?“ „Naturalnie, odpowiada Jewrej, św. Józef żył w ciepłym kraju, to musiał przed żarem słonecznym głowę swą ochraniać.“ Nasz Polaczek kupił ową figurkę, lecz zamiast żony radości dostał porządną kapitułę.

* * *

Lwowski „Wiek nowy“ ogłasza, że Jan Kalasanty Konewka, gospodarz z Lesienic w Galicyi, zwraca się do „wielmożnych panów gazetników i do narodu“ z odezwą, że „ućkła mu z chałupy żona Anna i pewnikiem zataiła się. Ktoby znał albo wiedział, albo słyszał coś o niej, ten niech nie marudzi, ino duchem niech policyę uwiadomi, a jeszcze lepiej, niech żonę wsadzi na furę i do Lesienic przywiezie, choćby nie chciała, bo on furmankę i rogatkę zwróci, a także prócz tego będzie się znał na rzeczy.“

Pod koniec grozi pan Konewka sądem i kryminałem każdemu, ktoby jego żonę u siebie zatail, bo wedle praw boskich i ludzkich ona jemu przysądzoną została.

Prowizoryum.

Orze chłopek, orze,
Kraje pług zagony,
Będzie rosło zboże,
Lecz kto zbierze plony?
Nasz chłopek od miedzy
Dziedzicznym zwyczajem
Skraweczek sąsiada
Zaorze choć krajem.
A sąd go zapozwie,
Komisya zjedzie
I plan narysuje
Kędy miedza wiedzie.
Płacą chłopki stemple,
Po sądach się włóczą,
Piją zaś po sądzie,
Próżnować się uczą.
Stąd znów kłótnie w domu,
W karczmie i na roli,
Od sprzeczki zaś dojdzie
Do bitki powoli.
A tymczasem zborze
Okryło zagony,
Baby noszą w pocie,
Za swych mężów plony,
Bo ich chłopi oba
Z za miedzy sąsiedzi,
Każdy za te kłótnie
Teraz w kozie siedzi.

Nuchym Chuchym potrzebuje mówić.

Jak chto na ciebie rzuci z kamienim, to ty na niego zawołaj policyanta i uczekaj.

Ślizgami si to jest przyjemność, chtóry si czasym używa na plecach, albo jeszcze na czymś inszym...

Miłość to jest świży jajki, małżeństwo to jest twardy jajki, a rozwód to jest zgniły jajki.

Chto chce psa uderzyć, to jest odważny albo hycel.

Jest tylko jedno polskie słowo, chtóre ma aż sztyry „y“, a mianowicie: „ymynyny“; a jest także jedno słowo, chtóre ma aż dziesięć guziki, a mianowicie — spodni...

Sny to si czasem lubią sprawdzić. Mnie si raz śniło, com uciekał przed wielkim psem i wpadłym do stawu, o wstawszy rano przekonałym si, że jeszcze tam leżę. Jeszcze szczęście, co już nie było psa.

Mówią ludzie, co jakby babcia miała koła, toby była tramwaj. To jest nieprawda. Ona by wtedy była dziadzim...

Chto rani wstaje, ten si pewni wcześni położył spać.

Dokąd? Zkąd?

Gdy cię coś w nosie kręci,
I czujesz jakiś swąd,
Nie pytaj wtenczas: „dokąd?“
Ale zapytaj: „zkąd?“
Gdy zaś ci kto pieniędzy
Da przez swój własny błąd,
To go nie pytaj: „dokąd?“
Ani nie pytaj: „zkąd?“

U doktora.

— Piwa, wina, wódki, proszę nie pić. Rozumie pan?

— Iii, pan doktór dziś jest w złym humorze. Ja przyjdę jutro.

Numer okazowy.

— Słyszałeś, Władkom urodziło się pierwsze dziecko?

Wydawca: — Spieszę obejrzeć ten numer okazowy.

Aktor prowincyonalny.

— Jesteś pan oskarżony o włóczęgostwo. Czy masz co na swoje usprawiedliwienie?

— Jestem aktorem prowincyonalnym.

Najliczniejsze stronnictwo.

Ile jest partyi i stronnictw niech się nikt nie trudzi
Dociec! — wkrótce ich będzie więcej, niźli ludzi!
Jedno z nich najliczniejsze, przecież rzecz niezbita,
Stronnictwo, co ma: *z głodu grające jelita.*